

Wojewódzka Biblioteka Pub.
Nr. 25796
LULIN
Łódź

MERKVRYVSZ POLSKI ORDYNARYNY

Dzieie wŹyŹskiego Źwiata w Źobie za-
mykaiący dla informacyey poŹpolitey
Założony w roku 1661

W Z N O W I E N I A R O K R P I A T Y
GAZETA TYGODNIOWA

**Teatry polskie
w niewoli**



GUBERNATOR FRANCK

jako Krezus zwalczany przez Cyrusa Degrelle'a

Nr. 35 (175)

12.IX.1937

Cena 45 gr.

DZIEIE WSZYSTKIEGO ŚWIATA

Przed terorem, stosowanym w Sowietach nie chroni ani wysokie, lub odpowiedzialne stanowisko w hierarchii sowieckiej, ani przynależność partyjna, ani bezwzględna lojalność wobec systemu komunistycznego.

Teror, który właściwie ani na chwilę nie ustawał w ciągu dwudziestoletnich rządów komunistycznych, przerzucił się ostatnio z dołów na wierzchołek olimpu komunistycznego i, strąciwszy tam sporą liczbę „wodzów“, zaczął znów schodzić na dół, ogarniając szeroką falą wszystkie bez wyjątku dziedziny życia „republiki socjalistycznej“.

JASNOWIDZENIE KONIECZNE

Przetrzebiwszy wojskowość, przemysł, transport i finanse, wkroczył w dziedzinę oświaty i nauki sowieckiej. Niedawno aresztowano wszystkich profesorów Instytutu Gospodarki Narodowej w Saratowie, a w Petersburgu akademika N. S. Dzierżawina, przyłapanego na gorącym uczynku „roboty kontr - rewolucyjno-dywersyjnej“. Dzierżawin od szeregu lat pracując nad ułożeniem słownika rosyjskiego, dopuścił się dyskretacji i „zniekształcenia generalnej linii“ stalinowskiej, umieszczając w pierwszych tomach cytaty z dzieł rozstrzelanych już Bucharina, Kamieniowa i innych. Okoliczność, że tomy te były wydane jeszcze za życia i pełni sławy tych dygnitarzy sowieckich, w niczem z punktu widzenia „sprawiedliwości“ marksistowskiej nie zmniejsza winy ani nie tłumaczy postępowania uczonego sowieckiego.

NIEBEZPIECZNE DOWCIPY

Przykład powyższy dosadnie ilustruje całą bezwzględność żądzy krwi, którą rozszalał Kreml i jego najbliższe otoczenie, ale trzeba przyznać że nawet w tej atmosferze ogólnego prześladowania, kiedy żaden z oby-

wateli sowieckich nie jest i nie może być pewien swego jutra, spotyka się przykłady podziwu godnej odwagi cywilnej.

Nie mając możności przeciwstawić się władzy sowieckiej i jej urzędowej radjo - propagandzie, ci ludzie, w sposób nie pozbawiony dowcipu, nie zważając na ryzyko, wyzyskują urzędowy aparat propagandowy radja, dla propagandy antysowieckiej. Czynią to z humorem wisielca i nie bez świadomości przykrych konsekwencji dla siebie, lecz cel swój widocznie osiąga, gdyż prasa sowiecka wskazując na „kontr - rewolucję“, która zagnieżdżyła się w radjo - rozgłośniach na Ukrainie, żąda natychmiastowego przeprowadzenia „czystki“ i usunięcia stamtąd „dywersantów“ i elementu „trockistowskiego“.

Okazuje się, że rozgłośnia ukraińska, po ogłoszeniu przez radjo wyroku śmierci na Kamieniewa, Zinowjewa et Co, natychmiast nadała marsza żałobnego. To samo powtórzyło się przy ogłoszeniu wyroku na Piatakowa.

RADJO - „PIEREDYSZKI“

Kiedy Moskwa dowiedziała się o tego rodzaju rebelji — wysłała natychmiast komisję i wszczęła dochodzenie, które wykryło rzeczy wprost sensacyjne. Wyszło na jaw, że podczas procesu Tuchaczewskiego, Uborewicza i innych, kiedy Moskwa zaczęła nadawać wstęp agitacyjny o rozpoczęciu się procesu „szpiegów, agentów faszystowskich, zdrajców ojczyzny, dywersantów trockistowskich“ i t. d., rozgłośnia ukraińska, pozwoiliwszy swym słuchaczom na wysłuchanie całego steku wymyślań, przerwała nadawanie i zrobiła „pieriedyszku“ w momencie kiedy Moskwa rozpoczęła nadawanie imion, nazwisk i tytułów oskarżonych, a natomiast niezwłocznie wznowiła odbiór gdy speaker mo-

skiewski zaczął wymieniać nazwiska osób wchodzących w skład trybunału sądu: Blüchera, Dybienio, Budziennego i t. d. W ten sposób wszystkie zarzuty zdrady, szpiegostwa i związanych z tym wymyślań połączyły się nie z nazwiskami Tuchaczewskiego i innych podsądnych, lecz z nazwiskiem Blüchera, Budziennego i całego kompletu trybunału, który w uszach słuchaczy wyszedł na zdrajców i szpiegów.

Takie same „pierierszki“ były zastosowane podczas transmitowania mów wygłaszanych na mitingach, agitujących za wykupieniem ostatniej pożyczki wewnętrznej. W chwili kiedy mówca, przemawiający do tłumów wykrzykiwał dajmy na to — „niech żyje wódz proletariatu towarzysz Stalin!“, rozgłosnie robiły kolejną „pieriedyszkę“ i przerywały transmisję, skutkiem czego „entuzjasm mas“ i „oklaski“, następujące bezpośrednio po wykrzykach mówcy nie dochodziły do słuchaczy, wywołując tym samym wrażenie, że wszystkie entuzjastyczne wykrzyki mówców były witane przez tłumy grobowym milczeniem.

DRUKARSKIE CHOCHLIKI

Inny wypadek „roboty szkodników i dywersantów“ zdarzył się z mową marszałka Woroszyłowa, kiedy w prasie prowincjonalnej dziwnym zbiegiem okoliczności ze słowa „pobieda“ (zwycięstwo), które często w swej mowie czerwony marszałek używał, dzięki „chochlikom“ drukarskim, odpadła pierwsza sylaba tego słowa, a pozostały dwie ostatnie, czyli „bieda“. W rezultacie prowincjonalny czytelnik dowiedział się że: „partja komunistyczna pod genialnym kierownictwem towarzysza Stalina prowadzi kraj od *biedy* do *biedy*“.

Okazuje się, że takie „omyłki drukarskie“ są wogóle na porządku dziennym i, bez względu na grożącą na każdym kroku denuncjację, towarzysz Mołotow i inni dygnitarze bywają w prasie tytułowani często nie

jako „predsiedatieli“ (prezesi), lecz jako „predatieli“, czyli zdrajcy.

Przyznać trzeba, że w warunkach sowieckich zabawa w radjowe „pieriedyszki“ czy też w „chochliki“ drukarskie, nie należy do kategorii bezpiecznych. J. K.

MOWY

Trudno doprawdy zrozumieć, dlaczego ludzie przywiązują tak wielką wagę do mów programowych, w rodzaju ostatniej mowy kanclerza Hitlera w Norymberdze.

To, co kanclerz powiedział, było opracowane przed kilku tygodniami, było przerabiane kilka razy, wyuczone na pamięć i tak podane, aby wywołać efekt. Innymi słowy, był to piękny monolog polityczny obliczony na to, aby ukryć niektóre rzeczy, a inne uwypuklić.

Wszystkie mowy programowe są takie. Gdy je wygłasza dygnitarz we fraku, bądź też w mundurze galowym, to bądźmy pobłażliwi i nie przejmujemy się zbytnio. Daleko ciekawiej byłoby posłuchać, gdyby ten sam dygnitarz wziął nas do restauracji i tam opowiedział, co myśli o oficjalnej części programu.

Cóż, kiedy sprawozdania z takich zwierzeń nie nadają się do druku. Nie wypada nawet sięgać po notes i ołówek.

RZECZY KONKRETNE

Przemawiając w Norymberdze, kanclerz oświadczył, że Niemcy rozwiązały już najcięższe zagadnienia społeczne i nie tylko niema bezrobocia, lecz przeciwnie w wielu dziedzinach okazuje się dzisiaj brak rąk do pracy.

Największą troską, która napełnia narodowych socjalistów, jest trudność zaopatrywania ludności w żywność. Bez kolonij obszar Niemiec jest zamyślony, by zapewnić trwałe wyżywienie narodu. Z tego względu kanclerz uważa kolonialne żądania Niemiec za zupełnie uzasadnione.

Mamy więc zapowiedź dalszych zabiegów o odzyskanie kolonij. W spra-

wie tej MERKURYUSZ wypowiedział się już niejednokrotnie. Jesteśmy zdania, że Niemcom należy życzyć powodzenia. Niechże sobie biorą Kamerun, Togo, wyspy na oceanie Spokojnym i niechże tam wysyłają jaknajwięcej swych obywateli.

Nie będziemy im zazdrościli. Wolimy Drang nach Kamerun, niż Drang nach Osten.

Według kanclerza Hitlera, świat musi się pogodzić z nowym stanowiskiem Niemiec, które czują się dość silne, by nie tylko dbać o należyty ład we własnym kraju. Niemcy mogą się zatroszczyć o obronę cywilizacji przed barbarzyństwem komunistycznym. Rzesza nie jest już odosobniona. Ma potężnego sprzymierzeńca Włochy. Z ich pomocą Rzesza stanie się czynnikiem pokoju w Europie.

TYMCZASEM...

Podczas gdy w Norymberdze odbywały się huczne uroczystości, a kanclerz zapewniał o niezłomnej woli Niemiec i Włoch utrzymania pokoju, na morzach południowych działy się dziwne rzeczy.

I

W pobliżu jednej z wysp egejskich zatonał parowiec sowiecki „Błogojew“, a opodal brzegów algerskich poszedł na dno drugi okręt rosyjski „Timirjazew“. W obu wypadkach katastrofę spowodowały torpedy, wyrzucone przez łodzie podwodne.

Każdy przyzna, że huk pękających torped nie harmonizuje z zapewnieniami o umiłowaniu pokoju. To też Moskwa rozjuszyła się okrutnie. Zwłaszcza, że zatopione okręty wiozły sprzęt wojenny do Walencji.

Kto słucha radja, ten w nocy z szóstego na siódmy września mógł nacieszyć się audycją nadawaną w kilku językach. Nigdy jeszcze Moskwa nie była tak zirytowana, nigdy nie słyszeliśmy tak wymyślnych przekleństw na faszystów. A wiadomo, że krzepkie słowa są specjalnością rosyjską.

TORPEDY

Któż to spuszcza na dno okręty rosyjskie z armatami, czołgami i amunicją? Można by odpowiedzieć: wiem ale nie powiem, bo kurtuazja dyplomatyczna zabrania. Zresztą, każdy się domyśla, co nie jest rzeczą trudną.

W nocy z piątego na szósty września dowiedziano się w Paryżu, że Sowiety noszą się z zamiarem oskarżenia Włoch o torpedowanie okrętów. Nazajutrz Moskwa istotnie zawiadomiła rządy francuski i angielski, że zamierza wystąpić z takim protestem podczas zapowiedzianej konferencji śródziemnomorskiej. Stało się to w przeddzień rozesłania zaproszeń. To też w Paryżu i w Londynie zapanowała konsternacja. Włosi dali do zrozumienia, że na konferencję nie przyjadą, bo i tak szkoda czasu, a gazety angielskie podały od siebie, że wobec tego wycofają się przypuszczalnie i niemcy. Ładna konferencja!

ZERWANIE STOSUNKÓW

Dziewiątego września w Paryżu głośno już mówiono o zerwaniu stosunków włosko - sowieckich, co równałoby się zakorkowaniu morza Czarnego, odcięciu dowozu sowieckiego sprzętu wojennego do Barcelony i Walencji, a przez to opozostawieniu Hiszpanji czerwonej na wyłącznej łasce Francji.

Pomoc francuska jest mimo wszystko wydatna. Dość wspomnieć, że minister lotnictwa p. Cot do tego stopnia ogołocił armję francuską z samolotów, że według pesymistycznych głosów niektórych dzienników dopiero po trzech latach da się wyrównać braki.

Może w obliczeniach tych, obok trocki, jest dużo przesady, ale wiemy dobrze, iż do wyścigu Damaszek—Paryż armja francuska nie mogła dostarczyć samolotów, nagrody zdobyli oficerowie włoscy, a najszybszy samo-

lot francuski (handlowy) robił o 50 kilometrów mniej na godzinę od eskadry włoskiej.

Dzieje się to w kraju, który wydał Bleriota i najsłynniejszych pionierów podboju powietrza.

NASZ PRZEGLĄD PRASY

Zwracamy uwagę Czytelników na nasze cytaty w przeglądzie prasy. Wśród wielu innych przynosimy w tym tygodniu przedruk z „Dąbrowszczaka“, który świadczy, jak staran-

ą edukację dostają nasi rodacy w Hiszpanji.

Autor opisuje atak lotniczy, zaczynając artykuł od wspomnień z manifestacji na placu Saskim. Piszę, że na widok samolotów polskich zaciskały się pięści, a młodzież socjalistyczna śpiewała pieśń lotników radzieckich.

Nie byliśmy na manifestacji pierwszomajowej, ale jesteśmy przekonani, że autor kłamie. Tak daleko sprawy jeszcze nie zaszyły.

dz.

NIEWOLA TEATRÓW POLSKICH

Przed kilku tygodniami zamieściliśmy artykuł pod tytułem „Handlarze Muz“, omawiający stosunki teatralne w Polsce. Jak bolesną poruszyliśmy w nim sprawę, najlepszym dowodem są liczne przedruki w prasie wszystkich dzielnic, listy napływające do redakcji oraz podziękowania otrzymane od ludzi pióra i artystów scenicznych.

Okazuje się, że mieliśmy najzupełniejszą rację określając te stosunki jako monopol pewnej kliki. Zasadniczym myśлом artykułu nikt nie zaprzeczył. Fakt pozostaje faktem, że żaden teatr w Polsce nie może otrzymać prawa na wystawienie utworu zagranicznego z pominięciem pośredników, pp. Hartlebena, Bogena i Haftmana, którzy owdładnęli naszym rynkiem teatralnym, dostarczają przekłady, wyznaczają tłumaczy i czerpią zyski nietylko z pośrednictwa lecz inkasują też stałe tantiemy od przedstawień we wszystkich miastach polskich.

To, co powinien zarobić tłumacz, płynie do kas pośredników, tłumacza zaś zbywa się ryczałtową zapłatą, która częstokroć nie przekracza 150 złotych od trzyaktowego utworu.

NIE BYŁO SPROSTOWAŃ

Gdyby informacje nasze były niezgodne z prawdą, nadesłanoby nam

sprostowania na zasadzie obowiązujących przepisów prasowych. Tymczasem zamiast sprostowań nadeszły uprzejme listy, które niczemu nie zaprzeczają, podkreślając rzekome zasługi pośredników. Listy te chętnie zamieścimy, zastrzegając sobie prawo do komentarzy.

Aby nie było nieporozumień, musimy jeszcze dodać, że na podstawie przeprowadzonych rozmów wyrobiliśmy sobie zdanie o istniejących agencjach teatralnych. Otóż zgodnie z opinią przedstawicieli świata teatralnego, najmniej szkodliwy jest p. Haftman, właściciel firmy „AUT“ (Agencja Utworów Teatralnych), istniejącej zaledwie od roku. Człowiekiem, który zabagnił nasze stosunki teatralne jest p. Rechtleben. Stara to firma. Pan Rechtleben ma na sumieniu zabicie inicjatywy prywatnej i zmechanizowanie życia teatralnego w Polsce. Trzeci działacz z tejże dziedziny, p. Bogen dostarcza towar najgorszy. Nie będziemy z nim tu dyskutowali, gdyż żadnego listu nie nadesłał.

LIST P. J. HAFTMANA

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 31 (171) „Merkuryusza“ przeczytałem artykuł p. t.: „Handlarze muz“, z którego intencją, dotyczącą polszczyzny przekładów, zgadzam się całko-

wicie. Wobec tego, że artykuł ten dotyczy też i mojej Agencji, bardzo Pana proszę. Panie Rdaktorze, o przyjęcie do wiadomości tych paru wyjaśnień, które bez wątpienia uzupełnią informacje Pana Redaktora w dziedzinie reprezentacji praw utorskich sztuk całowieczorowych w Polsce.

Agencja moja istnieje od roku i ulokowała w Polsce następujące sztuki zagraniczne, przyczem pragnę zaznaczyć wbrew temu, co głosi wspomniany artykuł, że prawie nigdy nie składam Dyrkcji Teatru przekładu polskiego, pozostawiając dobór tłumacza całkowicie i wyłącznie Teatrowi, który pierwszy w Polsce wystawia daną sztukę, co zresztą łatwo jest sprawdzić w Teatrach.

Dalej autor listu wymienia 18 utworów, wystawionych za jego pośrednictwem w teatrach polskich, wymienia też nazwiska osób, które tłumaczeń dokonały.

Nie będziemy się wdawali w ocenę tłumaczeń. Osoby kompetentne, do których zwracaliśmy się w tej sprawie z zapytaniem, odpowiedziały, nam, że niektóre przekłady były dobre, inne zaś złe. List kończy się w ten sposób:

Prosząc uprzejmie Pana Redaktora o łaskawe przyjęcie powyższego do wiadomości, nadmieniam, iż znaczna część tych przekładów została dokonana na życzenie Teatrów, przyczem opłatę autorską za przekład inkasują albo autorzy przekładów bezpośrednio, lub za pośrednictwem Zaiksu.

Byłbym Panu zobowiązany, Panie Rdaktorze, w wypadku dalszego omawiania sprawy przekładów, o łaskawe wzięcie pod uwagę mojego stanowiska.

Z prawdziwym poważaniem

(—) **Józef Haftman**

Autor listu sam zaznacza, że znaczna część przekładów była dokonana po porozumieniu się z teatrami. Dobre i to, ale nam chodzi o rzecz ważniejszą, o sam fakt istnienia pośredników, którzy uniemożliwiają teatrom nawiązanie stosunków z autorami oraz z tłumaczami. Chodzi nam też o wyzysk, jakiemu podlegają lu-

dzie piszący i tłumaczący utwory teatralne.

LIST P. ST. RECHTLEBENA

Drugi list p. Stanisława Rechtlebena więcej zaciemnia niż wyjaśnia. Potwierdza przedewszystkiem fakt, że nikt inny, tylko właśnie p. Rechtleben był wynalazcą nowych sposobów zaopatrywania teatrów polskich w utwory.

Zamieszczamy poniżej otrzymany list w całości. Będzie to ciekawy dokument naszych czasów:

Do Redakcji Gazety Tygodniowej
„MERKURYUSZ POLSKI”

w miejscu.

Chmielna 27 m. 6.

Wpadł mi dziś w ręce numer 31 (171) pisma WPanów z nagłówkiem na 1 stronie: „Teatry w pachcie Rechtlebena“ i artykułem w treści pisma p. t. „Handlarze muz“, który grzeszy wielu nieścisłościami, mogącymi wprowadzić w błąd czytelników. Wobec mojej specjalnej estymy dla Prasy, pozwalam sobie zrektyfikować niektóre twierdzenia WPanów i mam nadzieję, że w imię słuszności i sprawiedliwości zechcą łask. z moich uwag skorzystać.

Przedem wszystkim nie mam nic wspólnego ani z p. Bogenem, ani z p. Haftmanem, — każdy z nas działa zupełnie odrębnie i żadnej zwartej akcji między nami nie ma. Z samego faktu istnienia trzech agencji, które ze sobą nie mają nic wspólnego, wynika niezbicie, że teatry nie mogą być w niczym pachcie, gdyż agencje te między sobą konkurują i żadna nie dopuściłaby, aby teatry dostały się w pacht innej. Nie ma więc mowy o tem, aby teatry były w pachcie u mnie.

Poza tem ja oddaję teatrom sztuki w oryginale, a tłumaczenia są dokonywane przez osoby wybrane i upatrzone przez odnośne dyrekcje teatrów. W ten sposób bardzo często i przeważnie nie mam żadnego wpływu na tłumaczenia, a jeżeli p. Cwojdziniński, lub którykolwiek inny z panów pracowników literackich teatrów zajęty jest poprawianiem przekładu jakiejś

sztuki, to mogę WPanów zapewnić, że to w żadnym razie nie przy sztuce, pochodzącej ode mnie.

W szczególności zaś muszę zwrócić uwagę WPanów, że ja sprowadzam sztuki wprost od autorów, lub ich wydawców, nigdy zaś przez jakiś pośredni kraj, lub miasto. Nie przeczę, że sprowadzanie sztuk za pośrednictwem Wiednia może się zdarzyć, ale nie u mnie.

Wracając do przekładów, chciałbym jeszcze zaznaczyć, że na własną rękę — bez zezwolenia autora lub jego zastępcy — wogóle tłumaczyć nie można i to na podstawie Ustawy. Kosztowało mnie to ogromnie dużo trudu, aby do tej dziedziny wprowadzić ład, gdyż dawniej każdy, komu się jakaś sztuka podobała, tłumaczył bez pytania kogokolwiek o prawa, albo też każdy dyrektor teatru oddzielnie na swoją rękę rozdawał tłumaczenia faworyzowanym przez siebie osobom, skutkiem czego zdarzało się, że z jednej sztuki istniało kilka albo kilkanaście przekładów i żaden z tłumaczy nie wiedział, komu właściwie tantjema za wystawioną sztukę się należy. Zdawałoby się, że z tego względu nie powinien spotkać mnie żaden zarzut, gdy dbam o to, aby sztuka była grana w całej Polsce w jednym tylko przekładzie i aby ani teatr ani tłumacz nie mieli wątpliwości, komu się tantjena należy.

Wprowadzenie ryczałtów za przekłady powstało z winy samych pp. tłumaczy, którzy woleli natychmiastowy i doraźny zysk, choćby mniejszy, aniżeli czekać na obrachunki z teatrów, które są często bardzo spóźnione.

W końcu niech mi wolno będzie, jako temu, który najdawniej rozpoczął swoją pracę w tej dziedzinie, — zauważyć, że w swoim czasie tworzyłem swoją agencję dla wygody dyrekcji teatralnych, które nie wiedząc skąd uzyskać prawa do wystawienia jakiegoś utworu, traciły na próżno czas na szukanie ich po świecie i potem płaciły wysokie tantjemy, będąc zadowolone, że wreszcie mają możność wystawienia pożądanego sztuk.

Mam nadzieję, że WPanowie zechcą łask. oddać mi sprawiedliwość i oczyścić moje nazwisko przynajmniej od niestudnych zarzutów. Zresztą mogą WPanowie

wie w każdym teatrze przekonać się o prawdzie moich słów.

Łączę wyrazy wysokiego poważania.

Ajencja Wydawnictw Scenicznych
i Muzycznych

(—) Stanisław Rechtleben

NASZE UWAGI

Analiza listu p. St. Rechtlebena nie wpłynie na zmianę naszego przekonania o szkodliwości jego agencji.

To, że istnieją trzy agencje, działające każda na własną rękę, nie zmienia wcale faktu, iż w Polsce rozgościł się monopol teatralny. Czy pośrednicy kłócą się między sobą, czy też działają zgodnie, nic nas to nie obchodzi. Stwierdzamy, że nikt z poza pewnej paczki ludzi (w dodatku ludzi wyzyskiwanych) nie może marzyć o dokonaniu przekładu.

Pan St. Rechtleben dowodzi, że nie utrzymuje z agencjami wiedeńskimi. Sfery teatralne są przekonane, że takie stosunki istnieją, że są ożywione.

W jednym miejscu p. Rechtleben pisze, że przekładów dokonały osoby wybrane przez teatr. Nieco dalej przyznaje się, że „przeważnie nie ma żadnego wpływu na tłumaczenia“.

Wreszcie, co już wygląda groteskowo, p. Hartleben chwali sam siebie za uporządkowanie stosunków teatralnych w Polsce. No, tu już p. Hartleben zaszedł za daleko. Szmaciarze z Kosowa, którzy pozakładali fabryki kilimów, też mogą się chwalić, że wprowadzili „porządek“ do przemysłu ludowego. Nad tem nie warto dyskutować.

Kończymy nasze uwagi, wyrażając nadzieję, iż skończy się wreszcie działalność agentur teatralnych, że jednocześnie zniknie tandeciarstwo i wyzysk.

EGZEMPLARZE OKAZOWE
MERKURYUSZA
na żądanie gratis

OKRUCHY TYGODNIA

Rozmawiałem kiedyś z jednym z chirurgów warszawskich, którego specjalnością jest tak modne odmładzanie. Zaciekał mnie uwagą, że jest to zabieg, pomimo wszystko, niebezpieczny.

— W jaki sposób — spytałem — przecież właśnie te operacje słyną z tego, że są bardzo łatwe i zawsze się udają?

— Tak, to prawda. Ale niebezpieczeństwo leży nie w samej operacji, ale jej skutkach psychicznych. Widzi pan, rzecz się ma tak: człowiek schorowany, słaby, kwękający poddaje się operacji i już po kilku tygodniach zaczyna odczuwać jej znakomite skutki. Samopoczucie wzrasta kapitalnie, sił przybywa wprost w cudowny sposób, wszystkie niedomagania starcze, jak ręką odjął. Pacjent nabiera wspaniałego wigoru, temperament go roznosi. I cóż się dzieje? Odrodzony, pełen sił staje się zbyt pewny siebie. Zaczyna szaleć. I niech pan sobie wyobrazi, że w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto obserwacje notują niesłychanie hulaszczy tryb pacjenta, często przewyższający napięciem pierwsze hulanki z czasów młodości. Zdziwiająca rzecz: ludzie, którzy zamłodu pędzili życie jaknajbardziej skromne, bez żadnych ekstrawagancji, wprost wzorowe — teraz, po odmłodzeniu, w sześćdziesiątym, albo siedemdziesiątym roku życia piją, jak smoki, dzień w dzień, nie schodzą z dancinów, tańczą do upadłego, urządzają najszałeńsze eskapady i w rezultacie po kilku latach rujną swój — ostatecznie przecież siedemdziesięcioletni organizm — do tego stopnia, że zazwyczaj umierają nagle. I wychodzi na to, że pacjent, który bez odmłodzenia, jeszczeby sobie kwękał, na rumianku i w szlafroku z lat piętnaście — po odmłodzeniu na szampanie i we fraku, kończy się w cztery, albo pięć lat. Oto jest największe

niebezpieczeństwo odmładzania: reakcja po kuracji. Szaleństwo drugiej młodości.

MÓW WILKOWI PACIERZ

— Czemuż w takim razie nie uprzedza się pacjentów o tem niebezpieczeństwie?

— Jako — nie uprzedza się? Ciągłe im się to do głowy kładzie. Każdemu przedewszystkiem mówi się o tem niebezpieczeństwie, pokazuje się statystyki, literaturę fachową, cytuje się przykłady. Myśli pan, że pomaga? Djabła tam. Zaledwie dziesięć procent odmłodzonych znajduje w sobie tyle siły woli, żeby drugiej młodości używać oszczędnie i powstrzymać się od szaleństw. Olbrzymia większość niemal wprost z lecznicy pędzi do kabaretu. Nieprzytomni ludzie.

— To tak wedle przysłowia: mów wilkowi pacierz, a on woli kozią macierz.

— Wilki? Ba, żeby to wilki. Po tych operacjach w najspokojniejszych ludziach rodzą się lamparty. Dziwna, bardzo dziwna historia.

PARLAMENTARYZM ODMŁODZONY

Ta rozmowa przypomniała mi się dlatego, że w ostatnich czasach zaczęło się mówić o odmłodzeniu parlamentaryzmu w Polsce. Zebyśmy tylko nie zaczęli zabardzo szaleć parlamentarnie.

Wprawdzie z autorytatywnych wypowiedzi nie można jeszcze wymiarować, na czem reformy będą polegały, ale ponieważ są tylko dwie drogi i jedna z nich jest bardzo niebezpieczna, tedy zapowiedzi są napół niepokojące.

Gdyby reforma miała polegać na przywróceniu sejmowi charakteru prawdziwego przedstawicielstwa narodowego, a więc charakteru, którego dziś sejm niema — to byłoby bar-

dzo dobrze. Ale gdyby reformy miały się skończyć rozszerzeniem kompetencji sejmu w kierunku wpływania na rządy w kraju — to byłoby to prawdziwą klęską. Czasy absolutyzmu czterystu panów wróciłyby w jeszcze potworniejszej formie.

SEJM PRAWDZIWY

Dwojaka bowiem, jak wiadomo, może być rola sejmu. Przedstawicielstwa narodowego i ciała rządzącego. Pierwsza, zdrowa, pożyteczna, właściwa, przyrodzona rola sejmu polega na reprezentowaniu obywateli i właśnie sejm obecny jest dlatego zły, że tej roli nie spełnia. Obowiązująca dziś ordynacja wyborcza, jak już o tem nieraz pisaliśmy, uniemożliwia obywatelom wyłonienie sejmu, któryby rzeczywiście reprezentował ich dążności i przekonania, sentymenty i animozje.

Brak prawdziwego przedstawicielstwa narodowego jest dla ustroju taką samą klęską, jak brak manometru przy kotle parowym. Więcej: jeśli obywatele nie mają trybuny, na której z całkowitą swobodą mogą wypowiedzieć wszystkie swoje żale i dezzyderaty, — to taki ustrój kubek w kubek jest podobny do kotła bez kłapy bezpieczeństwa. Istnienie przedstawicielstwa narodowego, istnienie zdrowej, to jest jawnej i bez reszty się wypowiadającej opozycji jest jednym z najelementarniejszych warunków ustroju dobrego.

Ale sejm może i powinien być tylko ciałem przedstawicielskim i niczem więcej.

PARLAMENTARYZM

Sejm, który rządzi, który obala ministerja, który wprawia aparat władzy w stan nieustającego przesilenia, który wtrąca swoje trzy grosze w każdą dziedzinę życia państwowego, krótko mówiąc, sejm, jako czynnik *parlamentaryzmu* — taki sejm jest nieszczęściem dla kraju

Konstytucja obecna pod wieloma

względami jest nieodpowiednia. Nie odpowiada ani interesom państwa, ani charakterowi narodowemu pańkó, ani zadaniom, które przed państwem stawia nowoczesne życie polityczne. Ale pod jednym względem konstytucja obecna jest dobra, pod jednym względem zgadza się z polską tradycją polityczną i nowoczesnymi wymaganiami życia państwowego: oto nie daje sejmowi władzy rządzącej. Ucina łeb hydrze parlamentaryzmu. I jeżeli taki p. mec. Browiński ubolewa nad tem, że „zabardzo pog-nębiono w Polsce parlamentaryzm“ — tedy należy podejrzewać, że albo p. mec. Browiński nie wie, czem jest parlamentaryzm, albo używa niewłaściwych określeń na właściwą djagnozę, która powinna brzmieć: „w Polsce zabardzo pog-nębiono prawo obywatela do przedstawicielstwa narodowego“.

Daj nam Boże prawdziwe przedstawicielstwo narodowe, ale niech nas ręka boska broni od parlamentaryzmu.

ŻOŁNIERSKIE BUDOWANIE

Inną pogłoską, usilnie w ostatnich czasach kolportowaną, jest wiadomość, jakoby oczekiwała nas zmiana rządu i jakoby w nowym rządzie miały wziąć udział najwyższe czynniki wojskowe. Otwarcie powiem, że ta pogłoska jest niemniej niepokojąca, co zapowiedzi o reformach parlamentaryzmu.

Jedyną dziś siłą, na którą ten skołatany kraj może jeszcze liczyć, jest wojsko. Niemal wszystkie dziedziny naszego życia publicznego budzą myśli przykre. Jedna jest tylko dziedzina, na której widok wzrok się rozjaśnia, ku której oczy biegną z ufnością, która w tych ciężkich czasach jest jakim takim punktem oparcia dla myśli, poszukującej spokoju.

To też wszystkie złe siły w Polsce nie od dziś sprzysięgły się, aby ten ostatni już w Polsce, ośrodek zdrowia i potęgi, zniszczyć, zniesławić, skompromitować. Od wojska może się w

Polsce rozpocząć dzieło odrodzenia i dlatego wojsko taką budzi zaciekleść w obozie wrogów. Obóz ten, choć znakomicie zamaskowany można jednak określić i kto uważnie śledzi zabiegi różnych jego agentów, ten widzi, że ostatnio zmierzają oni ku jednemu zwłaszcza celowi: wciągnąć armję do roboty politycznej i w ten sposób położyć. Zniszczyć, zniszczyć ostatni w Polsce autorytet, ośmieszyć „żołnierskie budowanie“.

ZADANIA

Przed każdym dziś rządem w Polsce stoją zadania olbrzymie. Już ostatni „Mały rocznik statystyczny“ odkrył ludziom taki bezmiar tego, co jest w Polsce do zrobienia — że gdyby nawet ta Polska miała dobry ustroj polityczny — i wówczas jeszcze byłoby to zadanie na miarę Herkulesa.

Na dobitkę mamy jeszcze całą sieć związków tajnych, których ludzie, zajmując z reguły posterunki zwrotnicowe, wszystkie swoje wysiłki kierują ku temu, aby utrzymać w Polsce stan chaosu, bezładu, nędzy, kłótni wszystkich ze wszystkimi, aby nie dopuścić do żadnych reform pożytecznych, aby powstrzymać, zahamować, sabotować wszystkie wysiłki, które ku uzdrowieniu zmierzają i w rezultacie, aby wykonać wyrok, wydany na ten kraj w roku 1919: to ma być Saisonstaat, to musi wrócić do dawnego stanu, na tych ziemiach nie mogą być gospodarzami polacy.

I przed rozgrywką z mafją nie udadzą się żadne reformy. Przed rozgrywką z mafją żadne odrodzenie nie ruszy z miejsca.

RADY JUDASZOWE

Ktokolwiek w tych warunkach będzie popychał najwyższe czynniki wojskowe do wzięcia na swoje barki tej herkulesowej roboty, ten się okaże zwykłym zdrajcą, dającym rady Judaszowe. Cóż łatwiejszego, jak w dzisiejszych warunkach skompromitować każdą akcję, każdego czło-

wieka, każde pojęcie. Czyż nie zmieszano z błotem idei sanacji moralnej? Cóż może być zbawienniejszego dla Polski, jak idea uzdrowienia moralnego, wypalenia żelazem nieprawości, wycięcia zarazy korupcji i prywaty? A czyż terminu „sanacja moralna“ nie używa się w znaczeniu obelżywem? „sanacja moralna“ nie używa się w znaczeniu obelżywem?

Obecnie jesteśmy świadkami, jak mafja podgryza, kompromituje i kładzie pojęcie „konsolidacji narodowej“. I wnioskuje z zabiegów mafji, która tę tak wysoce zbawienną dla Polski akcję zarzyna z jakąś nieludzką, kamienną konsekwencją — można powiedzieć, iż — jeśli najwyższe czynniki, a przedewszystkiem szefowie O. Z. N. płk. Koc i płk. Kowalewski na rozgrywkę z mafją się nie zdobędą — niedaleki jest czas, gdy termin „konsolidacja“ będzie wywoływał taki sam efekt, jak „sanacja“.

W ostatnich czasach obserwuje się, powiadam, zabiegi różnych agentów, w kierunku wciągania do polityki najwyższych autorytetów wojskowych. Teraz krążą wersje, że te wysiłki mają być uwieńczone popchnięciem wojska pod augjaszowe brzemię rozwiązywania bieżących zagadnień politycznych w Polsce.

Cóż łatwiejszego, jak w dzisiejszych okolicznościach doprowadzić do kompromitacji? Miejmy jednak nadzieję, że zabiegi agentów nie udadzą się. Choć bardzo będą się starać, podsuwać z radami, proponować pomoc — proch spali im na panewce.

NAPOLEON I TALLEYRAND

Marszałek Davoust pytał kiedyś Napoleona, czem wytłumaczyć to, że toleruje tak blisko przy sobie Talleyranda i Fouchégo.

— Wiem, o co ci chodzi — roześmiał się cesarz — obaj są zdrajcami. Ale to wyjątkowo zdolni ludzie. Dopóki jestem silny nie potrzebuję się ich obawiać. Dopóki jestem silny, oni obaj będą mi wiernie służyć. Dopiero gdyby mi się noga powinęła, te dwa łotry mogłyby się stać niebezpieczne.

— Więc? — zdumiał się Dovoust.

— Ale mnie się noga nie powinie. Ja zawsze będę silny.

ELITA

Paskudna historia rozgrywała się niedawno przed jednym z sądów warszawskich. Pewien weterynarz utrzymywany był przez narzeczoną podczas studjów. Dziewczyna łudzona przez gagatka, że się z nią ożeni, rzuciła nawet swoją naukę i poszła na posadę, aby finansować studja przyszłego męża. Mancymonek skończył fakultet, wyszedł na ludzi, a ożenił się z inną.

Panna wpadła w pasję i zaskarżyła go do sądu o zwrot wyłudzonych sum.

Oto elita. Bodaj, że to już drugi wypadek tego samego kalibru. Jakiś lekarz w Małopolsce także się tak popisał. A ten z Warszawy, podobno, je-

szcze się odgrażał sprawozdawcom prasowym, że będzie wytaczał sprawy honorowe tym, którzy o jego procesie będą pisać w sposób dlań obelżywy.

Taki gagatek i sprawa honorowa. Nieźle.

Maluczko, a zacniemy czytać takie, na przykład, protokoły ze spraw „honorowych”: „Dnia tego, a tego, panowie ci, jako zastępcy p. Iksińskiego a panowie ci, jako zastępcy p. Igrekowicza, ustalili zgodnie w imieniu swych mandantów, co następuje: p. Iksiński zwróci p. Igrekowiczowi złoty zegarek, który mu wyciągnął w dniu tym, a tym, p. Igrekowicz zaś przeprosi p. Iksińskiego za obraźliwe słowa, wypowiedziane przy tej okazji. Na tem uznano sprawę za honorowo załatwioną dla obu stron“.

Przesada, powie kto? Poczekajmy więc parę latek.

J. B.

NASI WSPÓŁCZEŚNI

GUBERNATOR FRANCK

jako Krezus zwalczany przez Cyrusa Degrelle'a

Utalentowany reporter Herodot, lepszy od wielu współczesnych, opowiada w jednym ze swych sprawozdań o królu lidyjskim Cyrusie, któremu tak się powodziło, że aż zawołał: „Czyż może być człowiek szczęśliwszy odemnie?“.

Na to znany prawnik ateński Solon, jegomość złośliwy, odpowiedział: „Nikt nie powinien cieszyć się ze swe go szczęścia przed śmiercią“.

I stało się, że Krezusowi odebrano kopalnie nad złotodajną rzeką (Pactolus tibi fluat...), odebrano nagromadzone bogactwa i zakuto go w kajdany.

Czy w zawierusze obecnej, jaka wstrząsnęła super - finansjerą Belgji i Holandji, wojowniczy Degrelle ujarzmi potężnego Francka? Czy zgo-

tuje mu koniec kariery jak Cyrus Krezusowi?

Pojedynek toczy się właśnie, a my nic nie wiemy. Nasze gazety, inspirowane przez międzynarodową obsługę telegraficzną, milczą uparcie. To prawda, że istnieje wymiana depez, że musimy przyjmować, co nam dadzą. Ale od czego jest korespondent PAT-a w Brukseli?

Zgodnie z utartym zwyczajem, MERKURYUSZ opowie swym Czytelnikom o rzeczach, które są dyskretnie omijane przez agencje międzynarodowe.

FRANCK JAKO KREZUS

Jeżeli Ludwik Franck, były deputowany, były minister, a obecny

gubernator Banku Narodowego w Brukseli ma dobrą pamięć, to powinien sobie przypomnieć powiastkę o Krezusie. A przypomniawszy ją sobie, wysnuć wnioski i przeprowadzić analogie.

Bo też analogja rzuca się w oczy. Aż do ostatnich czasów p. Franck mógł słusznie się uważać za wyjątkowego szczęściarza. Karjerę rozpoczął z pustymi rękami, a doszedł do stanowiska, które mu przynosiło zasadniczej pensji półtora miliona franków. Do tego należy doliczyć, sypiące się jak z rogu obfitości dodatki, procenty, mniej więcej lub więcej legalne gratyfikacje, wreszcie wypłaty z tak zwanej „drugiej skarbonki“, o czem pomówimy nieco dalej. Gdy do tego dodamy wychodzące obecnie na jaw afery, choćby taką aferę Barmata, która rozmiarami ma zaćmić stawiskjadę, to kto wie, czy pan Franck, który te afery tolerował (a jak piszą złośliwi brał w nich udział), kto wie, powtarzamy, czy gubernator Franck nie okaże się bogatszy od legendarnego Krezusa?

FRANCK W LITERATURZE

Urodzony w Antwerpii, kształcony jako najzdolniejsze dziecię tamtejszego ghetta, Ludwik Franck ukończył z odznaczeniem szkołę średnią i zapisał się na wydział prawny uniwersytetu w Brukseli.

Był to, jak wynika z zachowanych w dziekanacie dokumentów, słuchacz wzorowy, niezwykle pracowity. Koledzy przypominają, że przez pierwsze dwa lata studjów uniwersyteckich, Franck polował na tytuł prymusa. Celu dopiął, a kiedy po zdaniu t. zw. kandydatury zaczął zastanawiać się nad sobą, doszedł do wniosku, że renoma móla książkowego bynajmniej nie przysparza popularności, że trzeba wylegitymować się inicjatywą.

Modne były wówczas kółka literackie. Franck nie zastanawiał się długo. Pojechał do północnej metropolji i

bez trudności zdobył fundusze na założenie nietylko kółka miłośników literatury pięknej, ale i na ufundowanie czasopisma „Revue Universelle“. Z gniazda tego wyszły nieprzeciętne talenty. W piśmie redagowanym przez Francka pisywali: Emil Vandervelde, Henryk Jaspar, poeta - deputowany Kamil Lemonnier i Rodenbach, piewca zamarłej Brugji.

Zebrania kółka odbywały się w oberży „pod Butlą Brabancką“ (a la Bouteille de Brabant) przyczem, zgodnie z narodowym obyczajem, podczas deklamowania wierszy popijano mocną jałowcówkę, szlachetne piwa z browarów istniejących od lat pięciu set i, na zakończenie, gorący punch, czyli mieszaninę wściekłych wódek i likierów.

Były to piękne czasy.

FRANCK ZRYWA Z LITERATURĄ

Przyjaciół i kolegów ogarnęło osłupienie, gdy Franck, po zdaniu egzaminów dyplomowych oznajmił, że zrywa z literaturą i przestaje się zajmować wydawnictwem „Revue Universelle“.

— To było dobre — oświadczył — w okresie szaleństw młodzieńczych. Teraz nastał czas, by przywdziać tę gę adwokacką.

W światku literackim zrobił się hu-czek niemały. Nie brak było głosów, że Franck założył „Revue Universelle“ tylko w tym celu, by mieć odskocznę do dalszej karjery, by zapewnić sobie stosunki w kołach intelektualistów.

Faktem jest, że po złożeniu tradycyjnej przysięgi przed gremjum profesorskiem, Franck zerwał z cyganerją a nawiązał tem ściślejsze stosunki z nielicznymi współpracownikami „Revue Universelle“, którzy w niedługim czasie zaczęli coś znaczyć w polityce, finansach i w palestrze.

Krótko mówiąc, miał dobry węż i zgóry przeczuł, z kim warto się zadować.

Po przywdzianiu togi, Franck za puścił brodę, słynną brodę koloru

miedzianego, która z biegiem lat zmieniła barwę i stała się podobna do szarawej przędzy lnianej.

Jego majestatyczny wygląd, jego uprzejmy uśmiech, jego talent a potem stosunki otworzyły mu drogę do Pałacu Sprawiedliwości w Antwerpii, gdzie najwyższym sędzią był Eleazar Graff, wybitny prawnik, uszlachcony przez Leopolda II.

FRANCK JAKO MARYNARZ

Za radą Graffa, początkujący adwokat Franck postanowił wyspecjalizować się w prawie morskiem, w gmatwaninie ustaw dotyczących marynarki handlowej, w przepisach obejmujących jeden z największych portów świata, Antwerpję.

Nie było wówczas fachowca, któryby umiał prowadzić procesy naprzekład z angielskim Lloydem. Franck wyjechał do Londynu, gdzie zaznajamił się z grubą księgą mądrości morskiej. Następnie odbył kilka podróży do innych portów, studjował prawo w Hamburgu i w Rotterdamie.

Nasycony wiadomościami, Franck wrócił do rodzinnego miasta i wkrótce zasłynął, jako znawca praw morskich. Odtąd występował w sądzie, broniąc interesów potężnych firm okrętowych. Każda wygrana sprawa przynosiła mu dochody ogromne.

FRANCK W PARLAMENCIE

Zawód adwokacki ma to do siebie, że można być jednocześnie czem kto chce. Zarządcą dóbr, pełnomocnikiem spółki akcyjnej w upadku, dyrektorem teatru, właścicielem sześciu karuzeli lub posłem do parlamentu.

Ludwik Franck poczuł skłonność do polityki. Stał do wyborów i oczywiście wyszedł z nich zwycięsko, jako przedstawiciel liberałów. W wyborach następnych (szczegół charakterystyczny) kandydował z listy nacjonalistów flamandzkich i też zwyciężył.

Może to się wydawać dziwne temu, kto nie zna tamtejszych stosunków.

Wspomnimy tylko, że Edmund de Bruyn w „Eloge d'Anvers“ doskonale określił to miasto.

Antwerpja, pisał wchłania hollendrów, anglików, niemców, hiszpanów, francuzów, włochów i żydów, a każdy z nich staje się zadzierzystym obrońcą metropolji.

Możnaby na to odpowiedzieć, nie wdając się w dyskusję, że wielu jest rodowitych flamandów z nad Skaldy, którzy do dziś dnia bronią kultury francuskiej, walczą o szkołę, są wyrzucani z posad.

Panu Franckowi utrata posady nie groziła. Zależało mu na utrzymaniu się w parlamencie. Był jednym z tych, którzy głosowali za flamandyzacją sędziwego uniwersytetu w Gandawie.

ODWRÓT FRANCKA

Nadszedł rok 1914, rok wojny. Dla Francka była to przykra niespodzianka, gdyż w porcie Antwerpii ruch okrętów zamarł, wielkie spółki akcyjne pogrzyżyły się w drzemce, parlament brukselski zamknięto.

Jako wojujący zwolennik flamandyzacji, Franck, zdawałoby się, powinien iść za Bormsem, czyli współpracować z okupantami. Jednakże Franck przeczuł widocznie, że wynik wojny będzie dla niemców fatalny, gdyż na współpracę z Bormsem nie poszedł, wycofał się z ruchu separatystycznego i, kiedy wojska króla Alberta wkraczały do kraju, wyszedł na ich spotkanie jako jeden z notablów miasta.

Uznany za patriotę, Franck ponownie wszedł do parlamentu, tym razem jako przedstawiciel umiarkowanego centrum, długo siedział w polityce pracując jednocześnie jako adwokat, aż wreszcie został ministrem skarbu.

Był to wielki krok ku dalszej oszłamiającej karierze.

FRANCK DYKTATOREM FINANSOWYM

W jaki sposób Franck dostał się następnie do Banku Narodowego na sta

nowisko naczelnego gubernatora, kto go tam pchnął, kto wyznaczył olbrzymią jak na stosunki europejskie pensję, kto mu wręczył klucze od skarbcza, dotychczas nie wiadomo.

Aby zbadać tę zagadkową sprawę, należałoby przejrzeć sprawozdania z posiedzeń tajnych związków międzynarodowych. Niestety, są to dokumenty narazie niedostępne.

Były to czasy szczęśliwe, powojenne, bezkryzysowe. Anonimowa spółka akcyjna zwana Belgją prosperowała świetnie i, jak to się często zdarza w dużych interesach, trudno się było połapać, kto właściwie rządzi. Jedno było pewne, że skarbiec narodowy dostał się pod opiekę Francka, za którym stał mniej znany, ale jeszcze potężniejszy b. minister Gutt recte Guttensztajn.

Popierała go też antwerpijska gmina, o której wystarczy powiedzieć, że posiada monopol światowy handlu djamentami.

FRANCK W BANKU

Złe się czuł Franck, po zawitaniu do Banku Narodowego w Brukseli. Gmach ten, wybudowany w połowie XIX wieku, posiada wszelkie cechy zepsutego smaku z owej epoki.

To też Franck nie przyjął ofiarowego mu mieszkania w zabudowaniach bankowych, lecz pozostał w mieszkaniu własnym w Antwerpii, dojeżdżając kilka razy w tygodniu do Brukseli. Nie były to podróże męczące. Wprowadzono właśnie pociągi zwane „train - block“, które przebiegały przestrzeń między dwiema stolicami w ciągu 34 minut bez postojów.

Dodajmy, że mieszkanie Francka słynęło i słynie z mnóstwa mozolnie nagromadzonych i cennych antyków, w czem można wyczuć rękę jego brata, handlarza starożytnościami.

Przyzwyczajony do renesansowych wnętrz domów mieszczańskich w Antwerpii, odróżniając brzydotę od piękna, Franck wolał jazdę pociągami niż

pobyt w wielkich komnatach zastawionych odrażającymi mebelkami. Pracując odtąd w Brukseli, nigdy tam nie mieszkał.

„CASSANDRE“ I SAP

Obok naczelnego organu reksistów wystąpiły przeciwko gospodarce w Banku Narodowym i inne czasopisma, a przedewszystkiem „Cassandre“, która podała w streszczeniu akt oskarżenia Barmata. Było to tak zrobione, że gdyby tekst zawierał choć odrobinę przesady lub małą nieścisłość, redaktora napewno zamknięłoby w areszcie.

Tymczasem, jak to pokreślił zacytowany przez nas poprzednio tygodnik „Pourquoi Pas“, żadnemu dziennikarzowi nie stała się krzywda.

Dalej, na widownię wystąpił okrutny Sap, były minister skarbu, człowiek wtajemniczony w gospodarkę Banku Narodowego.

Sap ogłosił w wywiadach prasowych, że od kilkunastu lat utarł się w banku obyczaj odkładania nadspodziewanych zysków do tak zwanej „drugiej skarbonki“. Z funduszu tego były wypłacane renumeracje członkom zarządu.

Nie dość na tem. Sap udowodnił cyframi, że wskutek błędów rzekomo przypadkowych, podczas zakupu funtów szterlingów (przed ostatnią dewaluacją), skarb państwa pokrył dyskretny niedobór Banku Narodowego wynoszący coś około dwu miliardów franków.

Wyplęnęła wreszcie afera Barmata, o której pisaliśmy już obszernie, powychodziły na jaw inne niedociągnięcia i w rezultacie gubernator Franck musiał odpowiadać na niedyskretnie pytania Degrelle'a.

OKO W OKO

Jak wiadomo, Degrelle zaopatrzył się w akcje Banku Narodowego i była obecnie na zebraniach jako akcjonariusz. Ostatnie posiedzenie odbyło się 30 sierpnia. Obok Degrelle'a sie-

dział jego pomocnik, senator van Dieren, z zawodu adwokat, również zaopatrzony w akcje. Wstęp dla dzien nikarzy był zamknięty, mimo to prze dostali się dwaj stenografowie i poro bili notatki dla prasy.

Wbrew oczekiwaniom, Degrelle nie natarł na Francka w sposób gwałtowny lecz zastosował taktkę stawiania pytań dobrze przemyślanych i, jak się zdaje, zgóry ułożonych. Franck bronił się zapamiętale, ustępując krok za krokiem.

Tegoż dnia Bank Narodowy rozesłał do prasy komunikat, przyjęty z ogólną nieufnością. Dalej nastąpiła konferencja prasowa, zorganizowana

przez ministra - socjalistę de Mana. Minister dużo zaciemnił, nic nie wyjaśnił.

Warto tu podkreślić, że wszystkie dzienniki socjalistyczne z naczelnym organem „Le Peuple“ milczą o nadużyciach w Banku Narodowym, o aferze Barmata i innych skandalach finansowych. Atakują tylko, jak za zwyczaj, przywódcę Rexa.

Wkrótce rozpoczną się w Brukseli liczne procesy na tle tych afer. Tygodnik „Cassandre“ przewiduje, że zbliża się fatalna chwila dla Krezusa-Francka. Czy Degrelle go powali, czy jednocześnie ustąpi van Zeeland, dowiemy się przed nadejściem zimy.

PRZEGLĄD PRASY



Erfurt, 15 sierpnia.

Mer miasta Ajaccio, Demonico Paoli za bronił wystawiać w oknach oraz sprzedawać książkę Leona Bluma „O małżeństwie“...

Postępek dzielnego mera Ajaccio będzie gorąco przyjęty w całej Francji i należyście oceniony w innych krajach świata.

Ale ciekawi jesteśmy, jak na tem wyjdzie ten dzielny człowiek.

(Notatka kronikarska. Wiadomość powyższą podał MERKURYUSZ przed kilku tygodniami).

GRINGOIRE

LE GRAND RENDEZ-VOUS PARISIEN, POLITIQUE, LITTÉRAIRE

Paryż, 3 września.

Stronictwa Frontu Ludowego prześcigają się w uprzejmościach wobec katolików.

Na rozkaz Moskwy zaczęli komuniści.

— Wyciągamy dłoń do katolików! — krzyknął Maurycy Thorez.

Wiemy, czem to pachnie. Stalin, aby utrzymać się na Kremlu, jest zdecydowany walczyć do ostatniej kropli krwi żołnierza francuskiego.

Stalin, trzeba to przyznać, nie robi już óżnicy między obywatelami francuskimi z chwilą gdy pakt francusko - sowiecki zapewnił mu pomoc naszej armji. We własnym kraju prześladowuje religję, ale ze swego krwawego antyklerykalizmu nie robił towaru na wywóz.

(Z artykułu „Le Front Populaire et l'anticlericalisme“).

PROSTO Z MOSTU

TYGODNIK LITERACKO-ARTYSTYCZNY

Warszawa, 5 września.

Wieczorem, gdyśmy przy zapalanej lampie siedzieli w saloniku, gościnny gospodarz opowiadał:

— Trzy lata temu w zimie przeżyliśmy tu jedną z nadgranicznych tragedii, która do dnia dzisiejszego nie doszła do wiadomości ogółu...

— Czy można wiedzieć?

— Było takie małe przyjęcie... Książd kanonik tutejszy, paru ziemian, ktoś z K. O. P'u lub z policji... Grano w karty, ómio

no papierosy, służba sposobila kolację. Na dworze była zawieja śnieżna i mróz niemały. Wtem przychodzi pokojówka i oświadcza, że pyta o księdza jakiś wynędz niały starzec w łachmanach.

— Któż by to? — fruczy nieco niezadowolony „kanonikus“ i niechętnie wstaje od brydża. Z trudem przesuwając swe olbrzymie pocziwe ciało wśród mnogich krzesel i znika w kuchni. Sądziłem, że to jakiś interesant parafialny, który nie zechciał gadać z wikariuszem i dotarł do proboszcza. Ale po paru minutach dochodzi do nas z kuchni jakiś jęk, lament, wykrzykniki zduszone. Wpadam więc do kuchni i widzę, jak mój proboszczunio ścisła w objęciach starego łachmaniarza i łąka. Niebawem obaj opadli na ławkę. Otyły, jowialny, kanonik i wychudzony, siwowłosy obdartus.

— Ależ to... ksiądz... Ksiądz Piotr... kolega mój seminaryjny... Proboszcz z Rosji... Z tamtej strony gość... — woła ze złami w oczach nasz kanonik.

Po chwili wprowadzamy niezwykłego gościa do saloniku.

Drży cały, jest zastrachany, podejrzliwie ogląda się dookoła. Daliśmy mu od razu szklankę mocnej i gorącej herbaty. Wypił z kawałkiem bułki... uśmiecha się przez zły... Narazie nie może mówić...

Potem, przy kolacji (dość łapczywie zjadł kawałek mięsa, ale więcej już niczego nie tknął), opowiedział nam swoją historię...

Od 1917 roku jest proboszczem na Ukrainie Sowieckiej... W 1921 roku był ciężko postrzelony, pół roku walczył ze śmiercią w chacie u wiernego chłopca. W 1923 roku aresztowano go i zesłano do więzienia w Kijowie, gdzie przesiedział do 1927 roku. Potem chory wrócił na swoją parafię, ale tam już kościoła nie było... Przeniósł się na inną, ale po roku i tam kościół zamknięto. Wówczas zaczął wędrować od parafii do parafii, a właściwie od wioski do wioski, od stodoły do stodoły, bo... w stodołach przeważnie odbywają się nabożeństwa w Rosji. Bez ornatów, rzadko — w komzach, przeważnie, ot tak, „po cywilnemu“ odprawia się Mszę Świętą. W 1932 roku osiedlił się w małym miasteczku, jako stolarz. Przy stolarce uczcił dwóch „kleryków“, to znaczy, że

dwóch małych stolarzy przysposabiał do stanu duchownego.

— Pamiętam, pewnego poranku — ciągnął swą opowieść — heblując deski, wykladałem uczniom teologię dogmatyczną. Z pamięci oczywiście, bo żadnych podręczników nie miałem. Wtem wchodzi jakiś zmęczony, zakurzony chłop brodaty. Stanął u progu i patrzy na nas łagodnie. Przyglądam się i poznaję: nasz biskup-ordynariusz... Przyszedł do nas na wizytację. Dwa dni u nas mieszkał. Kilkoro dzieci bierzmował, moich „kleryków“ na księży wyświęcił, no i mnie też... konsekrował na biskupa... nominację miał z Rzymu...

W tym miejscu wszyscy wstaliśmy, podeszliśmy do ekscelencji i ucałowaliśmy jego dłoń. A ekscelencja snuł dalej swą opowieść:

— W stodole odbyły się i bierzmowanie i konsekracja... tak... A potem to już ja chodziłem z wizytacją i też wyświęcałem takich „kleryków“ na księży. Miesiąc temu przybyłem w nadgraniczne okolice, więc postanowiłem jakoś o Polskę zawdzić... Wiedziałem, że przyjaciel mój jest tu proboszczem... A tak potrzebuję mszałów i parę kalendarzy, bo bez calendarium męki tam przeżywamy...

— Czy chcesz iść z powrotem, biskupie? — z trwogą w głosie zapytał kanonik.

— Oczywiście... jutro wieczór z pomocą Bożą wyruszę z powrotem.

— Nie, nie! — zawołaliśmy wszyscy.

Na drugi dzień wykąpano i odwieszono świętego staruszka. Dano mu czystą bieleźną i lepszą odzież, której przyjąć nie chciał, bo „jak złapią bolszewicy, to od razu poznają, że z Polski wracam“. Na trzeci dzień (był to powszedni dzień) rano powieźliśmy Go do kościoła... Ubieraliśmy Go w szaty liturgiczne jak gdyby na prymicję. Gdy wkładał czyściutką albę i nowy ornat, miał promienną twarz świętego.

Zapowiedział Mszę śpiewaną („Ja tyle lat, bracia, Mszy nie śpiewałem“). Służyliśmy do Mszy ja i kanonik, na chórze śpiewały trzy panie... Trzeba było słyszeć Jego „Glorię“. Tak, zaiste to była „Chwała na wysokościach Bogu“... I to „Credo“! Czuliśmy wszyscy jak ten ka-

plan wierzył i co dla tej Wiary robił. Bo Mszy świętej i po wspólnym odmówieniu pacierzy, podeszliśmy, jak na prymicji wszyscy... Tylko nie dłoń, a szaty mu całowaliśmy...

Potem organista zanucił: „ecce sacerdos magnus“... Tak...

Gospodarz wytarł łzy i nerwowo zapalił drugiego papierosa.

— I cóż? Poszedł z powrotem?

— Tegoż wieczoru... Miał ze sobą 2 mszały, nowiutki brewiarz i kilka kalendarzy... Mój Jahor i jednooki gajowy (którego pan dziś widział, ten Awdziej) odprowadzili go... Po dwóch dniach powrócili, przy nosząc nam smętną wiadomość o aresztowaniu biskupa przez bolszewików...

— Jakże to było?

— Granicę szczęśliwie przekroczyli i znajdowali się już na 7-mym rosyjskim kilometrze, a tu patrol czerwony: „Stój, stój“ — woła.

Wszyscy w nogi. Biskup biegł jak młodzieniaszek przyciskając swe mszały, swe skarby do piersi... Bolszewicy zaczęli strzełać i przypuszczalnie lekko zranili biskupa Piotra, bo zachwiał się i od razu zwinął bieg... Dopadli go czerwoni i zaczęli bić kolbami... Klęczał na śniegu i trzymał swe mszały. Jahor i Awdziej uciekli...

— I co dalej — nie wiadomo?

— Pojechałem do Warszawy, zacząłem usilnie obijać progi urzędów, konsulatów, poselstw. Niczego nie wskórałem. W pół roku potem otrzymaliśmy wiadomość o śmierci męczeńskiej księdza Piotra.

„Ty jesteś Piotr, skała, i na tej skale zbuduję Kościół swój“.

Za duszę ś. p. ks. biskupa Piotra nie trzeba się modlić, bo dusza Jego niezawodnie u Boga w wiecznej gościnie przebywa. Ale za tych wszystkich księży katolickich w Rosji i na Sowieckiej Ukrainie, którzy heblując deski, teologię dogmatyczną i moralną wykładają, za ich uczniów - stolarzy, którzy w szopach i stodołach święcenia kapłańskie otrzymują,

za biskupów - włóczągów, którzy z kijaszkiem w ręku swe diecezje wizytują, za uczniów Piotrowych i za męczenników na Wyspach Sołowieckich — zmów dziś, Czytelniku, jedno Zdrowaś Maryjo i jeden Skład Apostolski.

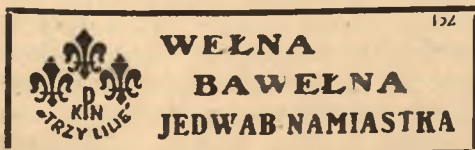
(Artykuł p. A. Junoszy - Gzowskiego p. t. „Gość z tamtej strony — z wrażeń poleskich“).

MYSŁ POLSKA

Warszawa, 1 września.

Jeśli w Polsce nie docenia się zagadnień treści w życiu politycznym, to jednocześnie i tym samym przecenia się zbawczą rolę mechaniki. Przeciętny „państwow twórca“ myśli, że policja, wojsko, władze czyli to wszystko, cokolwiek się składa na reprezentację państwa, potrafi rozwiązać i zarządzić wszystkiemu. Policja uprzedzi każdy przewrót, władze obmyślą środki zaradcze, potrzeba tylko stworzyć odpowiedni komitet międzyministerialny, odbyć parę konferencji, rozjazdów, wyłuzdzić tyle kredytów ile się da, wojsko zaś obroni od wroga zewnętrznego. Zapomina się tylko o drobnej rzeczy, o obywatelstwie zbiorowym narodu, które jest traktowane jako jakiś dodatek, wyczekujący przed okienkami brudnych i dalekich od sprężystości urzędów skarbowych czy gminnych. Czy nie zastanowiła uważnych obserwatorów w Polsce powszechność zupełnie identycznych w przebiegu kłótni, zachodzących przed tymi właśnie okienkami, w których zdenerwowany petent z reguły zwraca się do urzędnika z zapytaniem, co dla kogo ma służyć: czy nos dla tabakierki czy tabakiera dla nosa — czy urząd dla publiczności czy też publiczność dla urzędu?

Przeciętny obywatel w Polsce, zwłaszcza ten, na stolcu oficjalnym, nie zdaje sobie wcale sprawy z tego, że żadna policja nie odwróciła jeszcze biegu dziejów narodowych, nie powstrzymała narodu od upadania ani nie popchnęła go do odrodzenia, nie odwołała rewolucyj, nawet nie umiała uprzedzić zamachów na życie ludzi istotnie coś reprezentujących, że za-



dne wojsko nie wygrało wojny w wypadku załamania się tego właśnie zbiorowego poczucia obywatelstwa narodu, że wojsko jest bezradne wobec wrogich bakcyli idących drogą podziemną, że żadne wielkie i zbawcze reformy nie wyszły z gabinetów ministerialnych. Z ducha biurokracji płynnie czynnik stabilizacji, doskonały w chwilach pokoju, za słaby do tego, aby adwrócić nawałę złych przeciwności, wca le nie powołany do tego, aby reformistycz nie łamać wszystko, co stoi na przeszkodzie do odrodzenia narodowego. Czyż nie w tej prawdzie kryje się odpowiedź na fakt bezcelowości przeróżnych w Polsce biur ekonomicznych, akcji i planowania, komitetów specjalnych, „czynowników dla osobnych poruczeń”, dublujących, potrajających, po pięć razy to samo przerabiających, ze skutkiem prawie żadnym, lecz za to niezwykle drogo opłacanym.

Wszystkie czynniki mechaniki życia polityczno - państwowego uznać należy za elementy wrogie dla przemian, jałowe wobec zagadnień reformistycznych, martwe wobec sytuacji niestandardowych. Przemiany i reformy, zbawcze i ożywcze, niezbędne i ogromnie pilne, przyjdą skądinąd, innymi drogami dojdą do głosu i do swego wcielenia się. I tu właśnie zadania O. Z. N. są ogromne, nikt bowiem inny, jeno OZN ma wziąć na siebie poza biurokratyczne, ponad mechaniczne, organiczne uzdrawianie chorego organizmu Polski. W tym celu należy odseparować OZN od administracji i biurokracji, i przede wszystkim od urzędników. Poza pracą kancelaryjną, urzędnicy w zasadzie powinni być wyeksterminowani z pracy OZN.

Istnieje atoli jeszcze jedna, bardziej płaska dziedzina mechaniki, również bardzo silna w Polsce. Jest to dziedzina mechaniki personalnej, leżąca w sferze zagadnień biur personalnych i t. p. Tu właśnie panoszy się na całego metoda zaskakiwania, rozbijania jednych, klecenia innych ośrodków i zespołów. Tu stawia się na konia kariery, na posadę, operuje się metodą takiej czy owakiej łapówki. Nie jest to metoda zła w stosowaniu do wroga, przy obliczaniu na krótką metę działania, a nawet gdy jest używana na marginesach, lub w końcowych etapach, gdzie może zbraknąć ludzi właściwych. Jest to

atoli metoda najfałszywsza w świecie gdy odbywa się na górze, tam, gdzie ma się wytworzyć ośrodek potężnego moralnego napięcia, promieniujący na otoczenie i aureolą poświęcenia ozdabiający „zwarty ideowo, karny zespół”.

Tam, na górze, wszystko musi się odbywać w sposób nie koniecznie jawny, lecz koniecznie zrozumiały, organiczny i naturalny. Wszystko inne będzie tylko potwierdzeniem powszechności tego zjawiska, o którym mówił mądry i stary Żyd Disraeli: „Widzisz więc... że świat jest rządzony przez całkiem inne osoby, niż sobie wyobrażają ci, którzy nie oglądają kulisów”. Przewaga mechaniki w życiu politycznym zawsze świadczy o tym, że organika ukryta jest za kulisami, że jest scena i są kulisy. Zaistnienie zakulisowości w polityce OZN będzie rzeczą śmiertelną dla idei konsolidacji polskiej, każde bowiem kulisy mają swoje dalsze kulisy, będące niczym innym, jeno łącznikami z agenturą. Nawet w wypadku najczystszych intencji ludzi zza kulis pierwszej instancji. Dlatego właśnie wszystkie współczesne ruchy zjednoczeniowe zaczynały fakt swego realnego bytowania politycznego m. in. od... walki z kulisami, od wywlekania na światło dzienne tajemnic agentury masońskiej, sekciarskich, kapitalistycznych, międzynarodowo - bankierskich. Tak było z lożami i „wielkim mistrzem“ od gwiazdy Salomona - Toricellim w Italii, tak było z hitleryzmem, rozwiązującym loże, a nawet likwidującym Rotary - Cluby, tak było z ruchem młodotureckim Kemala Paşy, który pozamykał wszystkie loże, a Javida (Dawida), kierownika loż „Unii i Postępu“, najzwyczajniej w świecie powiesił, ignorując zabiegi brata Sarrauta, specjalnie w związku z tym przybywającego aż z odległego Paryża.

Rozpatrywana w tym ostatnim aspekcie sprawa mechaniki i jej przewagi w naszym życiu politycznym wygląda bardzo poważnie. Rozwiązać ją potrafią piłsudczycy niezależni od jakichkolwiek podszepców, skądkolwiek pochodzących. Odrzucając balast rzeczy drugorzędnych, stwierdzić należy, że jeno zjednoczeni dookoła płk. A. Koca piłsudczycy antymasoni, niszcząc podejrzaną mechanikę, powszechną w życiu polskim, obejmującą

wszystkie ugrupowania polityczne polskie, wydobędą na światło dzienne organikę. Zacząć się to winno oczywiście od ogłoszenia wojny (będzie to święta wojna) agenturom. Agenturze masonskiej wraz z jej licznymi przybudówkami. Tu leży sedno walki z mechaniką, a więc pośrednio i z główną zaporą, hamującą wyciąganie Polski wzwyż.

Należy tu dodać jedno ale. Mianowicie to, że powyższe może być niezrozumiałe dla ludzi, którzy za długo siedzieli w przedwojennych konspiracjach rewolucyjno - niepodległościowych, a potem służbowych. Są to biedacy, którzy za tajemnicę uważają nawet to, co Regnis przed paru dniami podał w „Naszym Przeglądzie“. Którzy bronią się przed ujawnianiem rzeczy znanych na całym świecie. Nie darmo mówi się w Polsce o jednym z najwybitniejszych piśsudczyków, o człowieku nieskazitelnego charakteru, iż gdyby był ministrem komunikacji, to rozkłady jazdy w Polsce stałyby się... tajne. Tacy ludzie częstokroć nie mając nic wspólnego z jakąkolwiek zakulisowością, bezwiednie są mafijnikami, gdyż najlepszą w intencjach, a nawet antymafijną robotę nieświadomie opłatują takimi sieciami tajemnic i podejrzliwości, wprowadzają tyle taktycznych momentów, że nawet najmniej zarążonych manią prześladowczą „przekonywują“, że coś tu nie jest w porządku.

Oczywiście bardziej skomplikowanie przedstawia się sprawa z byłymi masonami, z okresów, gdy przynależność do masonstwa była świetnie wygrywana dla sprawy polskiej, gdy tradycja masonstwa typu Łukaszińskiego była jeszcze żywa. Są to częstokroć ludzie dużych zasług dla Polski, których szczerze antymasonskie zdeklarowanie się powinno całkowicie wystar-

czyć dla uznania ich za niemających nic wspólnego z agenturami.

(Z artykułu p. W. Bączkowskiego p. t. „O treści i mechanice w zjednoczeniu“).

Echo
Beskidzkie
Dziennik polski
Zjednoczenia Śląska

Bielsko, 28 sierpnia.

„Poledni Czeske Slovo“ w nr. 186 ubolewa, że w okolicach górskich na Śląsku i na Morawach, zwiedzanych przez licznych turystów krajowych i zagranicznych, można zauważyć wielką ilość słowackich dzieci, zajętych w pracach rolnych oraz przy paszeniu bydła. Są to dzieci, które władze czeskie na czas wakacyj wysłały do bogatszych chłopów czeskich na Morawach i na Śląsku do pracy, chłopci zaś ci wyzyskują nędzę dzieci, zbywając je skąpym jedzeniem i niską zapłatą. Płacą bowiem takiemu dziecku od 20 do 30 koron *) miesięcznie. Organ ów zwraca się do władz z żądaniem, by zapobiegły wyzyskowi głodnego dziecka słowackiego przez bogatych chłopów czeskich, gdyż pominiawszy już względy humanitarne, zjawisko to wywołuje przykre wrażenie wśród licznych turystów zagranicznych, którzy potem przedstawiają Czechosłowację w niekorzystnym świetle jako kraj nędzy i wyzysku.

(Wzmianka redakcyjna p. t. „Wakacje słowackich dzieci szkolnych“).

*) Od 4 do 6 złotych. Przep. MERKURYUSZA.

SŁOWO

Wilno, 2 września.

Pytanie pierwsze: O ile prawdziwe są wiadomości, że na terenie Małopolski obok Stronnictwa Ludowego w strajkach i zaburzeniach brała udział również organizacja „Wici“?

MEBLE (koniec zeszłego wieku), jasny orzech, rzeźbione, w dobrym stanie, stół, kanapa, fotel, sześć krzeseł. Zamienię na takież komplet Biedermeyera, Simmlera lub t. p. ewentualnie dopłacę. Zgłoszenia listowne do administracji sub „Meble“.

Pytanie drugie: O ile prawdziwe są wie-
domości, że organizacja „Wici“ cieszy się
posiadaniem kontaktów, poparciem i u-
znaniem w pałacu prymasowskim t. zn.
w Ministerstwie Rolnictwa?

Są to tylko pytania. Sami nie prowadzi-
libyśmy żadnej ankiety na terenie Mało-
polski, a rząd, obrał nie wiemy czy szczę-
śliwą, taktykę kompletnego krępowania
prasy w czasie tych zajęć. Jeśli ze strony
miarodajnej t. zn. ze strony minister-
stwa rolnictwa, którego zdolności dzienni-
karskie ujawniane w formie krasomów-
czych sprostowań nieraz mieliśmy spo-
sobność podziwiać, lub ze strony Gazety
Polskiej t. j. organu zbliżonego obecnie
do p. ministra Poniatowskiego usłyszymy
wyraźnie: — Nie, „Wici“ nie brały udziału
w rozruchach, albo również wyraźnie:
— „Nie, Wici żadnych absolutnie kontak-
tów z pałacem prymasowskim nie posia-
dają“, to te odpowiedzi napewno wydru-
kujemy na tem samem miejscu na któ-
rem dziś formułujemy te pytania.

(Z artykułu p. Cat'a p. t. „Prof. Kot
i pytania w sprawie Wici“).

ABC

NOWINY CODZIENNE

Warszawa, 3 września.

W szkołach zawodowych wzrasta ciągle
liczba żydów. Oto gdy w roku 1926—27
było ich w państwowych szkołach zawo-
dowych 897 to do roku 1934—35 liczba ich
wzrosła do 1181. Ciekawe, że w szkołach
rolniczych nie było ich wcale, a oto w
roku 1934—35 już 21.

Natomiast gorzej jest z zawodowymi

szkołami samorządowymi, gdyż tam ilość
żydów wzrosła więcej niż trzykrotnie (w
okresie 1926—1934 r.), bo z 85 żydów aż
do 259.

(Notatka redakcyjna p. t. „Żydzi
się pchają“).

KURJER ZACHODNI

Sosnowiec, 2 września.

Znanemu działaczowi Stron. Ludowe-
go w Bodzanowie pow. Krakowskiego Jó-
zefowi Kulmie, ludność tamtejsza w od-
wet za terror, stosowany przez niego
podczas strajku rolnego zniszczyła siano i
połamała drzewa w sadzie.

Członek bojówki Stron. Ludowego w
Komornikach, Błażej Juszkiwicz pobił
prezesa koła tego Stronnictwa w Komor-
nikach, niejakiego Korka, za to, że odmó-
wił mu pomocy pieniężnej na lekarza. Po
tyń fakcie wynikły tarcia w tamtejszym
kole Stron. Lud., co spowodowało rezy-
gnację Korka z prezesury. Te i podobne
mu zajścia charakteryzują nastroje po-
strajkowe wśród ludności wiejskiej.

(Wzmianka redakcyjna p. t. „Na-
stroje postrajkowe wśród ludow-
ców“).

Kurjer Polski

Warszawa, 3 września.

Zdawna już powzięty zamiar urzędze-
nia w białowieskim Parku Narodowym
rezerwatu dla niedźwiedzi, ma być zrea-
lizowany jeszcze w roku bieżącym.

Nad wprowadzeniem w życie tego cie-
kawego projektu, przywracającego wspa-
niałej Puszczy jeszcze jednego pierwotne-
go jej mieszkańca, podobnie jak zrobiono
to z żubrami, a później z konikami leśne-
mi czyli t. zw. tarpanami, naradzał się
długo cały sztab przyrodników. Osadzić
bowiem niedźwiedzie w Puszczy jest dość
łatwo, trudniej natomiast utrzymać je na
miejscu. Niedźwiedź to urodzony włośczę-

Dozbroić!
Polskę na morzu!

ga i lubi po wielokroć razy zmieniać miejsce pobytu, zanim wreszcie spodoba mu się osiedlić gdzieś na stałe.

Początkowo projektowano wpuszczenie do Parku Narodowego kilku młodych niedźwiadków urodzonych w niewoli, licząc, że stałe dokarmianie przyzwyczai niedźwiedziątka do pewnych określonych legowisk. Wkrótce jednak uznano, że projekt ten nie zapewni całkowitej gwarancji utrzymania zwierząt w Parku.

Osadzenie niedźwiedzi w Puszczy odbędzie się więc nieco inaczej. Do Parku Narodowego będzie przewieziona wielka klatka z niedźwiedzicą, co do której istnieje pewność, że będzie miała małe. Miejsce na ten cel jest już wybrane i leży zdala od wszelkich dróg i drózek, aby zapewnić niedźwiedzicy potrzebny jej spokój.

Klatka, którą w tej chwili — według specjalnie sporządzonego wzoru — buduje jeden z większych zakładów ślusarskich, będzie miała pręty dość gęste, aby niedźwiedzica nie mogła się z niej wydostać, a dostatecznie rzadkie, aby mogły wyjść nazewnątrz małe niedźwiedziątka, które, oczywiście, będą stale powracały do swej matki, a po wyrośnięciu przyzwyczają się już dostatecznie do stałego miejsca pobytu.

Piękny Park Narodowy w Białowieży zyska zatem jeszcze jedną atrakcję turystyczną, podobną do tej, jaką posiada słynny Park Narodowy w Yellowstone w Ameryce.

(Artykuł p. Jmt p. t. „Niedźwiedzie w białowiejskim Parku Narodowym“).

DZIENNIK POZNAŃSKI

Poznań, 3 września.

Osada przedhistoryczna w Biskupinie stała się sławną oddawna i jest słuszną dumą Pałuk. Zrekonstruowana wioska naszych prahistorycznych przodków, jedyną w swoim rodzaju wykopaliska — ściąga licznych turystów, na których wywiera wielkie specyficzne wrażenie, imponując owymi dwoma tysiącami ciężących na niej lat. To też nie małe wrażenie

wśród tych, którzy już ją zwiedzili i tych, którzy dopiero mieli zamiar to zrobić — wywoła wiadomość, że osada biskupińska będzie musiała być zniesiona, że przestanie istnieć.

Powodem tu są czynniki natury fizycznej: od dwóch tysięcy przeszło lat spoczywające w bagnach zabytki, nie zniosą działania promieni słonecznych i samego powietrza. Za lat kilka stare drzewo będzie musiało rozpaść się, poprostu rozsypać się w proch. Żadne środki naukowe konserwatorów nie mogą przeciwdziałać dziełu zniszczenia, którego dokonuje słońce.

A zatem osada biskupińska zostanie zniesiona. Cenne wykopaliska znajdą odpowiednie dla siebie miejsce w mrocznych salach muzeów, a część ich zostanie sprzedana. Ofert na kupno nie brakuje. Przypominamy, że nawet z Ameryki nadchodziły propozycje kupna części wykopalisk biskupińskich i krakowskich.

(Korespondencja ze Żnina p. t. „Osada biskupińska pod wpływem słońca rozsypie się w proch“).

B I U L E T Y N POLSKO-UKRAIŃSKI •TYGODNIK•ILUSTROWANY•

Warszawa, 5 września.

W związku z niesamowicie przyśpieszonym w ostatnich czasach restauracyjnym kursem polityki ZSSR, sprawa odpowiednich wykładów historii w szkołach sowieckich jak i stworzenie odpowiednich podręczników w tej gałęzi wiedzy stała się bardzo paląca.

Problemat podręcznika historii sowieckiej posiada już swą własną „historię“. Jeszcze 16 maja 1934 r. (t. zn. po zlikwidowaniu „ukrainizacji“ Ukraińcy, przede wszystkim zaś po rozgromieniu jej przy pomocy zorganizowanego głodu w 1933 roku), kiedy to zapoczątkowana została w ZSSR epoka „jednego narodu sowieckiego“ — Sownarkom ZSRR ogłosił dekret p. t. „O wykładach historii państwowej w szkołach ZSRR“. Rozpisany też został

konkurs na „najlepszy podręcznik dla 3 i 4 klasy szkoły średniej“.

W międzyczasie — koniec 1935 początek 1936 r. — zaczęła działać „Komisja dla oceny podręczników historii“, w której to komisji najżywszy i najbardziej autorytatywny udział bierze słynny patriota, później „wściekły pies trockistowski“ — K. Radek-Sobelson.

Otóż już wtedy Komisja Radka opracowała wytyczne dla prawomyślnego podręcznika historii ZSRR. Te wytyczne na ogół pozostały dotychczas bez zmian, jak widać z ogłoszonych w tych dniach przez ową Komisję rezultatów konkursu na lepszy podręcznik. Wytyczne p. Radka zostały jedynie pogłębione i rozszerzone.

Jeżeli już wtedy (patrz Prawdę z dn. 1.II.1936) polecano podkreślić „dodatni charakter“ t. zw. „zbierania ziem ruskich“ przez Iwana Kalitę, doniosłość utworzenia narodowego państwa moskiewskiego — jako „jądra późniejszego państwa rosyjskiego“ i „wielką rolę genialnego cara Piotra I“, to obecnie (patrz Prawdę z dn. 22.VII, r. b.) postawiono wszystkie komunistycznie - imperialistyczne kroki nad i. Przy czym — rzecz zdumiewająca — uargumentowano to wszystko „wymogami prawdziwego marksizmu“!

Jak wygląda ten prawdziwy marksizm w interpretacji już nie przestarzałego Lenina, lecz najnowocześniejszego i hypergenialnego Stalina — niech osądzi Czytelnik sam.

Komisja oburza się na to, że w większości podręczników państwowa rola WKP (b) została pomniejszona, że „wmawia się myśl, iż władza państwowa ZSSR jest wykonywana tylko przez partię komunistyczną“. Komisja ostrzega przed traktowaniem „wojny domowej jako walki klas wewnątrz Rosji“, gdyż była to „walka o całość Rosji, walka za ojczyznę przeciwko burżuazyjnym państwom ościennym, walka o niezależność państwową, o ziemię“. „Partia bolszewicka oraz władza sowiecka podniosły cały naród do walki w obronie ojczyzny przed niewolą obcego imperializmu“, „Tego nie mógł do końca bezsilny i zacofany caryzm“. (Prawda 27.VIII).

(Notatka redakcyjna p. t. „O podręczniku historii Z. S. S. R.“).

Пролетарии всех стран, соединяйтесь!

Всесоюзная Коммунистическая Партия (больш.).

ПРАВДА

Орган Центрального Комитета и МК ВКП(б).

Moskwa, 22 sierpnia.

Niemal wszyscy autorowie podręczników:

a) nie rozumieją, że chrześcijaństwo było postępowem w porównaniu z barbarzyństwem pogańskim, że wraz z chrześcijaństwem Słowianie otrzymali piśmiennictwo i bardziej wysoką kulturę bizantyńską;

b) ignorują postępową rolę klasztorów;

c) nie widzą żadnej politycznej roli w dokonaniach Chmielnickiego w XVII wieku... Fakt przejścia Gruzji w końcu XVIII st. pod protektorat Rosji, jak również fakt poddania się Ukrainy pod władzę (sic! — MERK.) Rosji należy rozpatrywać w związku z konkretnymi warunkami historycznymi owych czasów. Autorowie nie widzą, że przed Gruzją stała wtedy alternatywa — albo być pochłoniętą przez Persję szachów (!) oraz sułtańską Turcję, albo poddać się pod protektorat Rosji (widocznie już wtedy „marksistowskiej“ — MERK.). Również i przed Ukrainą stała wtedy alternatywna — albo być pochłoniętą przed pańską (!) Polskę oraz sułtańską (!!) Turcję, albo poddać się pod władzę (sic!! — MERK.) Rosji (bez przymiotnika — MERK.). Przecież druga alternatywna była jednak mniejszym złem...

OPRAWIAM KSIĄŻKI

■ skromnie albo luksusowo, ale tanio i solidnie (po amatorsku)

Specjalność oprawa MERKURYUSZA

Rocznik w 2 tomach 4 zł. 50 gr.

Całość 14 złotych ■

■ (R. 1933 — 1 tom; lata 1934, 1935 i 1936 po dwa tomy)

MARJAN SOBIESZCZAŃSKI

Warszawa, Krak. Przedmieście 4 m. 35

d) Większość autorów z reguły nieprawidłowo ocenia walki Nowgorodców z Zakonem Krzyżackim na jeziorze Czudskim, kiedy to zahamowany został Drang nach Osten okupantów (sic) niemieckich... Mamy przecież niedwuznaczną wskazówkę Marksa: w 1242 roku św. Aleksander Newski wystąpił przeciwko rycerzom niemieckim i rozgromił ich na lodzie jeziora Czudskiego tak, że łajdacy (prochwosty) zostali na zawsze (?) odrzuceni od granicy rosyjskiej.*).

(Z artykułu redakcyjnego).

*) Aczkolwiek w tej rubryce z zasady nie dajemy komentarzy, to jednak nie możemy się wstrzymać od gorącego polecenia historykom europejskim tej wzruszającej wzmianki Marksa o Aleksandrze Newskim. (Przyp. MERKURYUSZA).

treball

Barcelona, 31 sierpnia.

Rada Naczelna Aprowizacji miasta Barcelony, postanowivszy wprowadzić od września b. r. przepisy dotyczące sprzedaży mleka skondensowanego, cukru, jaj, drobiu, osobom chorym, starcom i dzieciom, podaje do wiadomości publicznej, aby nikt nie tłumaczył się nieświadomością, że recepty w tym miesiącu wydane będą ważne do 4 września, poczem należy wystarać się o nowe recepty, które będą wydawane tylko na przeciąg dni ośmiu. Recepty te muszą być zaopatrzone w podpisy lekarzy ordynujących w lecznicach, a dotyczyć będą tylko wypadków nagłych. W wypadku choroby chronicznej, recepty będą ważne na cały wrzesień po uprzednich oględzinach lekarskich w przychodni.

Poszczególna recepta może być wydana tylko na jeden środek spożywczy po uprzednim naklejeniu i skasowaniu znaczka stemplowego wartości 0,25 pesety po zarejestrowaniu w miejskim Komitecie dzielnicowym.

(Komunikat Rady Naczelnej Aproprowizacji miasta Barcelony).

LA LUTTE
OUVRIERE

Paryż, 27 sierpnia.

Kiedy w Barcelonie aresztowano Nin'a, przywódcę POUM-u, nie było już żadnych wątpliwości, że agenci Gepeu nie wypuszczą go żywego. Cyniczne zamiary Stalina stały się jasne z chwilą gdy Gepeu, która trzyma w swych szponach policję hiszpańską, wydała komunikat oskarżający Nin'a i całe kierownictwo POUM-u o pozostawanie na służbie generała Franco.

Absurdalność tego oskarżenia jest oczywista dla wszystkich, którzy znają najważniejsze szczegóły rewolucji hiszpańskiej. Joachim Murian, założyciel i kierownik POUM-u był schwytany i rozstrzelany przez generała Franco w pierwszych dniach wojny domowej. Członkowie POUM-u włączyli bohatersko na wszystkich frontach Hiszpanji przeciwko faszystom. Nin był starym i niezłomnym rewolucjonistą. Bronił interesów ludu hiszpańskiego i ludu katalońskiego przed agentami biurokracji sowieckiej. I właśnie dlatego Gepeu pożyłoby go się przy pomocy dobrze opracowanego chwytu... Co do roli oficjalnych czynników hiszpańskich, snuć można tylko przypuszczenia.

(Z artykułu Lwa Trockiego „L'assassinat d'André Nin“).

CLARIDAD
DIARIO DE LA NOCHE

Madryt, 2 sierpnia.

Stało się to hasłem wszystkich antyfaszystów: śpieszmy z pomocą mieszkańcom miasta Santander, którzy tak bohatersko walczą. Radzili jedni i rozkazywali drudzy, powtarzano te słowa w rozmowach prywatnych, na wiecach oraz w gazetach, gdzie widniały jako tytuły odezwo, krzyżując i rzucając się w oczy.

Zamiary były szlachetne, wola nasza była silna, silne też było poczucie obowiązku. Ale jak zamiary wykonać? Powtórzono się to w Santander samo, co zaszło w Irunie, w San Sebastian, w Bilbao.

Chcieliśmy śpieszyć z odsieczą, cóż kiedy zabrakło nam okrętów i nie mogliśmy dostarczyć morzem ani żołnierzy, ani amunicji.

(Z artykułu Roberto Castrovido, przedruk z „El Diluvio“).

DĄBROWSZCZAK

Madryt, 4 sierpnia.

Dobrze pamiętam manifestację pierwszo-majową 36-go roku. Dawniejszy plac Saski po brzegi wypełniony Warszawą robotniczą. Łopocze las czerwonych sztandarów. Naprzeciw „Wiadomości Literackich” ktoś przemawia. Głos ginie wśród ogólnego gwaru. Czekamy aż mówca skończy, by wyjść na ulicę. Nagle wśród połowy zdania urwał. Plac się uciszył.

Od strony Mokotowa i Okęcia ukazały się samoloty w szyku bojowym, trójkami lecąc tworząc wielki na niebie czarny trójkąt.

Wysoko podniosły się pięści. Padają wrogie okrzyki. Młodzież śpiewa pieśń lotników radzieckich.

Dzisiaj, gdy pisze te słowa, siedząc w okopach, te same samoloty krążą nad naszymi głowami. Przylatują rano, przed południem, po południu, przed wieczorem i w nocy. W swych kadłubach wiozą jak mówią towarzysze „wyrób“.

Wyrób, to od 25 do 300 kilo żelaza naładowanego dynamitem. Całość jest bardzo świszcząca, gdy pada kilkanaście metrów od nas. Chowamy wtedy głowy w ramiona, ramiona z głowami przylepiamy do ziemi i... jeden klnie faszystów, drugi wznosi okrzyk na cześć Republiki — a tamtemu nagle zachciało się palić. Namiętny palacz!!!

Pokraża piętnaście, dwadzieścia minut, czasem godzinę i odleca. Odleca, ale niezawsze. Dzisiaj (godz. 10 rano) trzy motory faszystowskie zostały wzięte do niewoli, jeden spalił pocisk artyleryjski. W pierwszych miesiącach wojny, gdy Republika nie miała nawet regularnej armji — a cóż dopiero mówić o flocie powietrznej, samolot w ręku wroga był najgroźniej

szą bronią. Niebo nad Madrytem czerniło się od tych drapiezców. Nad pozycją latały nie więcej jak sto metrów — siekać z karabinów maszynowych. Obecnie stan ten się zmienił. Tak jak na ziemi, tak i w przestworzu bohaterska armja ludowa pierze faszystów. Ukazanie się 50 naszych samolotów na pozycji — należy do zjawisk codziennych.

Wspomniałem o braniu samolotów do niewoli. Odbywa się to w ten sposób: Małe, przez wszystkich kochane aparaty, przewane „muszkami“, niedaleko pozycji czatują. Przeciwnik, ciężki trójmotorowy Junkers, naładowany bombami ma ograniczoną szybkość ruchów. Leci zawsze po woli i nisko. W odpowiednim momencie „muszki“ z wysokości 800—9000 mtr. spadają. Asystują po jednej i drugiej stronie Junkersa, kierując go poza nasze pozycje i zmuszając do lądowania. Jeżeli nie chce, serja kul palących karabinu maszynowego zamienia go w jednej chwili w płonąca żagiew i kupę popiołu.

Tak mniejwięcej odbywa się branie do niewoli, przedtem jednak należy stoczyć ciężki, niekiedy śmiertelny bój z szasarami (samoloty myśliwskie) eskortującymi bombardowce.

(Z artykułu „Samoloty“ podpisane-go nazwiskiem Bogdan Zojda).

JEŚLIŚ ZNAWCĄ NIE LAIKIEM,
PIJ HERBATĘ
„z KOPERNIKIEM“



WARSZ. TOW. HANDLU HERBATĄ
A. DŁUGOKĘCKI, W. WRZEŚNIEWSKI
SPOŁKA AKCYJNA

WARSZAWA, BRACKA 23 125

OBIADY CZWARTKOWE

Doniosłe studjum p. t. „Nacjonalistyczne konkluzje o Napoleonie“ ogłosił niedawno p. Leszek Gembarzewski. Studjum bowiem uderza w kult osoby (wogóle), uderza skutecznie i właśnie dlatego jest doniosłe.

Ale naprzód słówko wyjaśnienia. Oczywiście nie należy sądzić, iż p. Gembarzewski godzi w wielkość Napoleona. Podejrzenia o tak tanie podejście, godne „odbronzowiaczy“ — byłyby dla p. Gembarzewskiego co najmniej krzywdzące. Właśnie z trudnego zadania, którym było: nie ujmując wielkości Napoleonowi, wykazać niewłaściwość kultu jego osoby, a temsamem wogóle kultu osób w myśleniu politycznym, z tego, powtarzam trudnego zadania, p. Gembarzewski wywiązał się znakomicie.

Nie zamierzamy tu w tej chwili streszczać wywodów p. Gembarzewskiego, tembardziej, że ogłosił dopiero pierwszą część swego studjum. Chcemy tylko podzielić się z Czytelnikami jedną uwagą, jaką nasuwa temat.

ZDROWY PRYMTYW

Mianowicie: czy kult osoby jest zdrowym objawem politycznym?

Bezwątpienia. Zdrowym.

A czemu?

Z tych samych przyczyn, które sprawiają, że niezdrowe jest jego przeciwieństwo: kult kolegum, ciała zbiorowego, czyli w głębi rzeczy — fikcji. Kult kolegialności jest jednym z najszkodliwszych zjawisk politycznych. Natomiast kult osoby jest zawsze wyrazem wiary w jednostkę, w człowieka. Jest przejawem realności myślenia politycznego, jest objawem zmysłu politycznego. W tem leży jego zdrowie.

W czemże tedy mieści się zasługa p. Gembarzewskiego, jeśli uderza on w zdrowy objaw polityczny?

W tem, że objaw ten jest prymitywny. Jest to zdrowie barbarzyńskie.

Kult osoby jest najprymitywniejszym wyrazem wiary w jednostkę, dobrym gdzieś w Azji, czy nad jeziorem Wiktorji. W Europie czas już zdobyć się na właściwy narodom dojrzałym wyraz tej zdrowej idei politycznej, mianowicie kult *instytucji* rządów jednostki.

KULT INSTYTUCJI

Narody dzisiejsze dźwigają się z odmetów anarchji, nędzy i dzikości, w jakie wtrącił ich demokratyczny kult kolegjalizmu. Dźwigają się właśnie rządami jednostek. Ale pełni zdrowia nie osiągną póty, póki nie przestaną opierać całego swego ustroju na *osobie* rządzącej jednostki.

Póki system rządów *ubóstwionej jednostki*, despotycznej monokracji osoby nie zastąpią konstytucyjną monokracją uświęconej instytucji. Poza bowiem wszystkimi szkodami politycznymi, jakie ubóstwienie jednostki sprowadza, kłóci się ono z europejskim poczuciem godności, podczas gdy uświęcenie instytucji jest z tem poczuciem w jaknajpiękniejszej zgodzie.

INSTYTUCJONALIZACJA

Okropny wyraz. Ale, niestety, jedyny. Kiedy już bowiem jesteśmy przy tym temacie: instytucja, wyrażmy tu zdziwienie pod adresem pewnej nauki.

Mam na myśli socjologję. Od czasów studenckich dość uważnie śledzę literaturę socjologiczną i jestem wprost niemile uderzony tem, że dotychczas żaden z socjologów nie podniósł tak istotnej dla swej nauki sprawy, jak instytucjonalizacja. Zdolność ustanawiania instytucji.

Dotychczas po dziełach socjologicznych kołaczą się różne nedorzeczne analogje: społeczeństwo ludzkie — społeczeństwo mrówek, czy pszczoł i t. d. Rodzina ludzka — rodzina zwierzęca. Nie chcę tu użyć słowa *andro-*

ny, ale te analogie bardzo się o to proszą.

Rzecz w tem, iż u podstaw socjologii dzisiejszej leży pewne niedopatrzenie. Socjologowie mianowicie dostrzegli, iż w społeczeństwie ludzkim człowiek występuje w charakterze dwojakim: jednostki i osoby. Jednostki, jako przedstawiciela pewnego gatunku i osoby, jako członka grupy społecznej. Socjologia zdołała spojrzeć na człowieka nietylko od strony biologicznej, ale także i „socjalnej“.

TROJAKI CHARAKTER

Socjologowie powiadają: człowiek rodzi się, jako jednostka, a osobą dopiero zostaje, gdy zbudzi się w nim świadomość więzi społecznej. Słusznie, ale mało. Mianowicie, socjologowie nie dostrzegli *trzeciego* charakteru człowieka. Człowiek, z socjologicznego punktu widzenia występuje w charakterze trojakim: jednostki biologicznej, osoby socjalnej i osoby prawnej, niejako instytucji jednostki ludzkiej.

Człowiek odrazu rodzi się jako jednostka i jako osoba prawna, a w dalszym ciągu życia zdobywa charakter trzeci: osoby społecznej.

Więcej: już na długo przed urodzeniem, czyli przed stanieniem się jednostką biologiczną, człowiek jest osobą, posiadającą pewne prawa, np. prawo do życia, chronione kodeksem.

Z tego rozróżnienia trojakiego charakteru człowieka płynie mnóstwo najdonioślejszych konsekwencji, a między innymi i ta, która odrazu, z punktu, pozbawia sensu wszelkie analogie na temat: społeczeństwo ludzkie i „społeczeństwo“ mrówek.

CZŁOWIEK I INSTYTUCJA

W świecie bowiem zwierzęcym nie istnieje pojęcie instytucji: czyli formy prawnej. W świecie zwierzęcym istnieje rodzina biologiczna: ojciec, matka i dzieci. Ale formy prawnej rodziny zwierzęta nie znają. Instytu-

cja rodziny jest zjawiskiem czysto ludzkim.

To samo dotyczy wszystkich innych grup, które, rzekomo analogicznie, spotyka się w świecie zwierzęcym. Społeczeństwo mrówek jest społeczeństwem na sposób zwierzęcy: biologiczny. Nie jest zinstytucjonalizowane, nie ma formy prawnej, którą posiada społeczeństwo ludzkie.

Cóż jest bowiem społeczeństwo zwierzęce? Jest liczną grupą, zorganizowaną napozór tylko społecznie, gdyż tej organizacji treścią, jest wyłącznie struktura biologiczna.

Społeczeństwo ludzkie jest nietylko grupą biologiczną, ale posiada także swą instytucję prawną, mianowicie aparat rządowy: ministerjum, administrację, sąd, opinię publiczną i t. d. (co jeszcze nie jest państwem).

NARÓD

Dalej: w świecie zwierzęcym zgoła nie jest znane pojęcie narodu, czyli łańcucha społeczeństw, związanych w czasie genetycznie i duchowo, łańcucha posiadającego swą osobną formę prawną, czyli instytucję: państwo.

Właśnie z dotychczasowych pojęć socjologicznych wynika mnóstwo błędów, a także i ten, że państwo łączy się np. ze społeczeństwem.

Niewątpliwie ponoszą tu część winy i prawnicy, którzy określają państwo w sposób jaknajbardziej fałszywy, gdyż pod bardzo ciasnym, czysto formalnym, a więc powierzchownym kątem widzenia.

Powiedzieć, że państwo, to pewna liczba mieszkańców na określonym terytorjum, podległych jednej władzy— to wprowadzić szkodliwe zamieszanie w pojęciach. Uznać pozory za treść. Członki ciała za ciało samo, z duszą w dodatku. Prawnicze określenie państwa mówi tylko o aparacie władzy, organizacji rządu, czyli instytucji prawnej aktualnego, w danym okresie czasu istniejącego społeczeństwa, ale nie mówi bynajmniej o państwie, którem się staje dopiero

aparatu władzy, ożywiony duchem swojej, narodowej idei dziejowej. Kto wie, czy nie w tem formalnym, prawniczym myśleniu, narzuconem ludziom współczesnym, czy nie w niem, powiadam, leżało źródło niedorzeczności, jakie popełniano, mówiąc np. o „państwie“ Abisyńskiem, o „niepodległości“ Abisyńczy i t. d.

MYŚLI BOŻE

Państwo jest instytucją narodu i bez narodu niema państwa. Aparat władzy, organizację rządu może sobie zaprowadzić każde społeczeństwo ludzkie, lecz przez to nie stworzy jeszcze państwa. Żeby stworzyć państwo, ożywić duchem aparat władzy, trzeba naprzód być narodem, a żeby zostać narodem trzeba zbudować Parteon, lub ułożyć Prawo Dwunastu Tablic. Lub kośćmi zasać pole pod Lignicą.

Krótko mówiąc: żeby zostać narodem, trzeba sobie jasno uświadomić, co się ma na świecie do zrobienia. Jest się tylko barbarzyńskiem plemieniem dopóty, dopóki się nie zrozumie swego zadania dziejowego i dopóki nie zacznie go się wcielać w czyn.

Narody, to myśli Boże — powiedział jeden z największych filozofów polskich. A czemuż jest pierwszy warunek myśli, jeśli nie świadomość własna?

Świadomość narodowa — oto, co tworzy narody.

WRÓCMY DO RZECZY

Lecz wróćmy do rzeczy: najwyzszy czas, aby socjologowie dostrzegli, iż zjawisko instytucjonalizacji jest zjawiskiem wyłącznie ludzkim. Tylko człowiek umie stwarzać formy prawne dla swego życia, inaczej mówiąc: instytucjonalizować je, uniezależniać od czasu, uwieczniać.

Zwierzę ściśle jest związane z czasem. Człowiek umiał go pokonać. I tylko człowiek ma prawo do wieczności.

DJALOG

— Powiedz mi, drogi Łukaszu, jakie teraz mamy największe zmartwienie?

— Nie rozumiem, do czego zmierzasz. Wyłóż trochę szerzej, o co ci idzie.

— Toż mówię: zmartwienie. Kłopot. Największy polski kłopot aktualny. Po co zjeżdżają się komisje, nad czem radzą, o czem się pisze w gazetach, co jest przedmiotem rozmów, ku czemu kieruje się zainteresowanie tak zwanej publiki? Co ściąga uwagę powszechną? Dolegliwości ustroju? Obrona państwa? Siedemset pięćdziesiąt tysięcy bezrobotnych? Dochód społeczny na głowę pięć razy mniejszy, niż w Niemczech, a dziewięć razy, niż w Anglii? Wkłady oszczędnościowe dwa razy mniejsze, niż w małej Austrii? Pięć razy mniej aut, niż w Czechach? Szosy, gorsze, niż w Abisyńczy? Co? Czy to są nasze zmartwienia?

— Sądzę, że tak...

— Otóż nie. To wszystko nie zwraca uwagi powszechnej. Nie to nas martwi, niepokoi, podnieca do czynu. W tej chwili mamy inne zmartwienie.

— Powiedz że nareszcie.

— Pisownia. Nowa pisownia. Tem się, uważasz, ambarasujemy. O tem nam każą czytać, myśleć, mówić. Nad tem radzą komisje, zjeżdżające się nieustannie, ten temat nie schodzi z łamów prasy. Bo innych, uważasz, zmartwień nie mamy. To jest najbardziej paląca kwestja dnia. Nowa reforma pisowni.

— Istotnie, trochę to dziwnie brzmi. Ale cóż stąd wyciągasz za wnioski?

— Na wniosek jeszcze się nie zdecydowałem. Właśnie się waham, jaki postawić wniosek. Na tę komisję, uważasz. Możebyś mi pomógł wybrać? Bo nie wiem, jaki zaproponować dla tej komisji ekwiwalent: czy dziesięć batów na goło dla każdego członka, czy list z wymysłami od najgorszych,

czy przekaz do domu zdrowia, czy...

— Przesadzasz, Kamilu, przesadzasz...

— Jakto? Uważasz, że to przesada? Ludzi, którzy w tak trudnych czasach, w czasach wprost niebezpiecznych, odciągają uwagę ogółu od rzeczy istotnie palących, zajmują tę uwagę głupstwami, takich ludzi bić w skórę to przesada? Przecież to najgorsi szkodnicy, przecież to wprost przestępcy!

— Uspokój się, Kamilu! Czego krzyczysz?

— Jakże można spokojnie mówić o tego rodzaju historii? Wyobraź sobie, że w twoim domu zarysowała się ściana. Zaczynasz biegać po mieszkaniach, alarmować ludzi, zwoływać do roboty, a tymczasem przyłazi do nich jakiś rudy facet, pstryka taljã kart i powiada: „w brydżyka, panowie. Zagrajmy kilka roberków w brydżyka“. I ludzie rzucają drabiny, klamry, belki, złączają z rusztowań i siadają do stolików. Rysa powiększa się z minuty na minutę, już zaczynają trzeszczeć powały, a rudy facet powtarza: „gramy, panowie, gramy“. Cóż? Zachowasz wobec rudzielca olimpijski spokój?

— Spokój zachować można zawsze, a trzeba z reguły. Tembardziej w chwili niebezpieczeństwa. Co zaś do dzisiejszej historii z pisownią, to mimo twoje porównania, bardzo zresztą obrazowe, wystaw sobie, że obstają przy swoim: przesadzasz.

— Ciekawe! Uważasz więc, że to zupełnie w porządku? W Polsce, w roku 1937 zawracać ludziom głowy kwestją pisowni — to, według ciebie, nie karygodnego?

— Pozwól. Nie przesadzaj sprawy zgóry. Dlaczego zaraz „zawracać głowy“? I czemu „ludziom w Polsce“? Kwestją pisowni interesuje się ten, kto chce. A gramatycy, filogowie i całe to bractwo właśnie predestynowane jest po temu, aby się zajmowało kwestją pisowni. Twoje stanowisko — wiesz kogo mi przypomina? Pewnego starostę z roku 1919. Był taki starosta, jeden z pierwszych starostów pol-

skich i dlatego okropnie przejęty swoją rolą. Ale oryginalność jego polegała nie na tem, że się przejmował sprawami starostwa, ale właśnie naodwrot. Facetowi zdawało się, że cały glob dźwiga na ramionach. Ugiął się pod brzmieniem swego dostojenstwa. Nic zresztą dziwnego. Jeszcze pół roku temu był drobnym urzędnikiem w banku, a teraz, nagle... pan życia i śmierci w całym powiecie. Więc mój starosta chodził oszołomiony. Czytał wszystkie gazety, na pamięć znał wszystkie kluby sejmowe, interesował się przesileniami, wnikał w arkanę polityki europejskiej, pilnie śledził przebieg konferencji pokojowej w Paryżu, studjował sytuację na froncie, słowem, był to wzór męża stanu, zajętego od rana do wieczora sprawami państwa. Nie mówił też nigdy: „ja“, albo „my“, czy „starostwo“ — lecz zawsze „państwo“. Kiedyś zwróciłem mu uwagę, że w całym powiecie ogromnie rozpleniło się kłusownictwo, że policja powinna kłusowników łapać. Nie masz pojęcia, jak się mój starosta oburzył. Od stolika się zerwał, po gabinecie zaczął biegać i wołał: „Co? Państwo toczy wojnę na trzy fronty, a pan każe policji kłusowników łapać? Ze wszystkich stron wrogowie na państwo nacierają, a pan każe policji zajęcy pilnować?“. Ot, masz logikę.

— Owszem, to bardzo ciekawe. Mów dalej.

— Skończyłem. Chciałem ci tylko dać przykład.

— Nie mój drogi, nie skończyłeś. Przeprowadź swą analogję do końca, a sam dostrzeżesz błędy.

— Błędy? Nie sędzę. A co do przykładu, to — cóż mam jeszcze mówić? Sędzę, że przykład jest bardzo wymowny. Zgodzisz się z tem, że rozumowanie owego starosty było niezbyt sensowne. Jak wojna, to pal diabli zająć? Policja podczas wojny ma przestać łapać kłusowników? Z jakiej racji? Wojna, wojną, a porządek porządkiem. Et haec facienda et haec non omittenda, jak mówił pan Zagłoba. Wojsko powinno zwyciężyć bolszewi-

ków, racja, ale policja powinna łąpać raubszyców, nieprawdaż? Od tego jest podział pracy. Żołnierze o wojску, ministrowie o polityce, a gramatycy o zmianie pisowni.

— Racja. Ale co to ma do rzeczy?

— Jakto? Przecież o tem mówimy. Ciebie oburza fakt, że bezrobocie, że zacofanie gospodarcze, że nędza w kraju, że to, że tamto — a filologowie wyjeżdżają z reformą pisowni. O to ci przecież chodzi?

— Tak jest. I właśnie dlatego powiadam, że twego przykładu do materji ni przypiął, ni przyłatał. Ja nie mam pretensji do filologów, że zajmują się sprawą pisowni. Od tego są filologowie. Oczywiście. Gdybym wołał, że filologowie powinni rzucić gramatyki, a zacząć myśleć o motoryzacji kraju, to słusznie mógłbyś cytować mi historję owego starosty. Ale mnie o co innego idzie.

— Nie rozumiem. O cóż więc?

— O to, że zajmują kwestją pisowni uwagę ogółu. Nie o to że sami tem się martwią, ale o to, że nam tem głowę zawracają. Z kwestji zmiany pisowni zrobili zagadnienie dnia. Wpakowali ten temat na łamy prasy. Tygodniki całe stronicę poświęcają tej materji. O niczem się w Polsce nie mówi, tylko o „emi czy ymi“. Do tych głupstw wciągnęło się nauczycieli, młodzież szkolną, publicystów, zecerów, księgarzy, słowem, każdego, kto ma z piórem do czynienia choć raz na tydzień, wklepało się w męczący, jałowy i zawracający głowę kierat. O to mi idzie. Zrobili to samo, cobyś zrobił ty ze swoim przykładem, gdybyś poszedł w nim o krok dalej.

— O krok dalej?

— Gdybyś mianowicie z kwestji zaczętej zrobił kwestję dnia. Gdybyś zaczął łązić po ministerjach, redakcjach, instytucjach publicznych i kazał im, podczas wojny, roztrząsać, czy ochrona na zajęce ma trwać do 1 października, czy do 15 października, czy kłusownik ma być karany aresztem, czy grzywną. Gdybyś pojechał na front, do kwatery głównej i

rozdął całemu sztabowi kwestjonariusze, zaczem rozpoczynając od woźdza naczelnego, kazał im się wszystkim wypowiedzieć na temat: „zając, a kuropatwa w polskiem gospodarstwie łowieckiem“.

— Zdaje się, że zaczynam rozumieć, o co ci chodzi.

— Właśnie. Haec facienda et haec non omittenda. Owszem, niech sobie gramatycy o reformie pisowni myślą, ale niech z tem *teraz* na forum publiczne nie wyjeżdżają, ludziom głowy nie durzą, od spraw ważnych do głupstw uwagi publicznej nie odciągają. Niech się zjeżdżają, niech kuja argumenty, niech przygotowują materjał na czas spokojny, ale poza murami akademji o tem ani mru-mru. Żadnych zmian, żadnych reform na odcinku małoważnym, choć wszystkich interesującym, dopóty — dopóki wielkie reformy, na donioślejszym odcinku nie będą uczynione. Należy stopniować tematy, szeregować zagadnienia wedle ich ciężaru. Nie zaczynać od dyskusji prasowej na temat ortografji, bo na tę dyskusję przyjdzie czas na końcu. Teraz powinno się uwagę skupić na zagadnieniu numer jeden. Potem na zagadnieniu numer dwa. Potem trzy i tak dalej. A dyskusja o pisowni, to jest kwestja numer tysiąc sto. Zgadzasz się?

*

TROCHĘ O „ROBOTNIKU“

Proszę nie sądzić z tytułu, że to będzie o polityce. Politykowanie w dzisiejszych czasach bardzo przypomina zajęcia astronomów. Mierzą głębokości kraterów na księżycu. Dla kogo? Mapa księżyca wprawia mnie w zdumienie. Widziałem kiedyś bardzo szczegółową mapę księżyca. Upewniam, że żaden patrol ziemski, wyprawiający się na przespziegi, nie rozporządza mapą tak dokładną: każdy dołek, każda górka była na tej mapie zaznaczona. I obejrawszy tę mapę, wracając potem do domu długo rozmyślałem: dla kogo oni ułożyli tak dokładną mapę? Kto, chciałbym wiedzieć, i kiedy będzie omijał te górki

księżycowe i dołki, maszerując z mapą w ręku?

Politykowanie bardzo się dziś upodobniło do rysowania map księżycowych. Mapa owszem — powinno być dziś hasłem polityków (cywilnych).

To raz. A powtóre: w tej rubryce jest nieprzyzwoitością poruszać tematy polityczne. Jeśli więc będzie mowa o „Robotniku“, to tylko od jego strony niepolitycznej.

BARDZO NIEPOLITYCZNA

Otóż bardzo niepolityczną stroną „Robotnika“ są jego formy. Naprzykład o „MERKURYUSZU“ ciągle pisze „pisemko“, „tygodniczek“, „świstek“. Wiem, że wystarczy, abyśmy zwrócili na to uwagę i „Robotnik“ już nigdy inaczej o nas nie będzie pisał, tylko tak właśnie; „pisemko“, „tygodniczek“, „świstek“. Niech pisze. To będzie tak, jak z panem Borowskim.

Znacie, „Robotniku“, historję o panu Borowskim? Sławnym Leonie Borowskim, kompanjonie „Księcia Pannie Kochanku“?

Było tak. Borowski, jadąc kiedyś do Birż, zanocował w karczmie, podle Krakinowa, czyli w samym Krakinowie, bo już nie pamiętam. Zapowiedział żydowi, żeby więcej nikogo do karczmy nie puszczał, bo zaraz idzie spać, a ma takie przyzwyczajenie, że może spać w hałasie. Musi spać pociachu.

ŁADNY SZLACHETKA

Trzeba wypadku, że wkrótce potem przyciągnęto do Krakinowa kilka pojazdów. Byli to książęta Giedroyciowie z Białożorami, jadący na sądy kompromisarskie, mające być roz-

strzygane między nimi w Kiejdanach przez panów Billewicza, Bystrama i Laudańskiego. Zaczęli się dobijać do karczmy.

— Otwieraj, łotrze! — wołali.

— Nie mogę, panowie, karczma zamknięta, — odpowiadał przez bramę karczmarz.

— A któż to nocuje?

— Pan Borowski.

— Hej, Maciej, Wincenty, wysadzić wrota i wyrzucić tego szlachcica.

Myśleli sobie, że to jakiś szlachcic zagrodowy. A pan Borowski, który właśnie stał w oknie, odmawiając pacierz, wychylił się i powiedział na cały głos:

— Ładny szlachcic, co ma sześćset do tysiący długu.

Giedroycie i Białożory osłupieli. Powsiadali na bryki i pojechali dalej, jak niepyśzni. Samego długu ma sześćset tysięcy? — myśleli zapewne — toż to jakiś magnat.

Inna rzecz, że pan Leon, miał w całym majątku, jak to dobrze wiadomo, właśnie te tylko sześćset tysięcy długu. Ale zawsze sześćset tysięcy.

WIĘC PROSZĘ BEZ POUFAŁOŚCI

Więc, „Robotniku“ prosimy zważać, z kim macie do czynienia. Wiesz pan, ile mamy długu? Żebyś pan zobaczył nasze długi, tobyś pan czapkę zdjął. Tak, tak, drogi panie.

Nie wiem, ile panowie macie długu, ale nam żadna suma nie zaimponuje. Napewno w porównaniu z nami, wasze długi, to kurom na śmiech.

Więc ostrożnie, panowie, nie pchać się, bez „pisemek“. A to ładne „pisemko“, co ma tyle długu.

J. B.

PRENUMERATĘ

MERKURYUSZA POLSKIEGO

można zamawiać telefonicznie: telefon 6.64.75

Książki nadesłane

Dr. Mieczysław Skrudlik: *Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny w nauce kościoła i w sztuce*. Nakładem Kongregacji Oratorium Św. Filipa Neriusza. Gostyń 1937. Str. 150.

Wacław Budzyński: *Lufcik na świat*. Nakładem wydawnictwa „Jutro Pracy”. Warszawa 1937. Str. 300.

Władysław Jan Grabski: *Fourier*

(1772 — 1837) jego życie i doktryna. Nakładem Księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1928. Str. 293.

Zdzisław Ludkiewicz: *Polityka wielkich robót publicznych*. Nakładem Ligi Odrodzenia Gospodarczego Polski. Warszawa 1936. Str. 171.

E. M. Schummer - Szermentowski: *III-a Rzesza rośnie*. Nakładem Wł. Michalaka i S-ki. Fotomontaże L. Chejfecca. Warszawa 1937. Str. 202.

F R A S Z K I

STENBERG PISZE

W bardzo dziwnej, bo redagowanej przez polską szlachtę herbową gazecie socjalistycznej „Robotnik” (30. VIII) ukazał się list J. Steinberga, delegata żydowskiego Pen - Clubu. Pan Steinberg tak się wyraża:

Zasadnicze oskarżenie polega na tym, że miałem wypowiedzieć groźbę pod adresem Niepodległej Polski, mówiąc, że wobec tego, iż Polacy zawdzięczają swą niepodległość międzynarodowemu liberalizmowi, winni pamiętać, że mogą ją utracić, tak samo, jak ją zdobyli“.

Oświadczam kategorycznie: słów tych ani jakichkolwiek podobnych im w treści nie wypowiedziałem!

Dalej p. Steinberg zapewnia, że nas kocha i, aby nie było wątpliwości, przytacza ustęp ze swego przemówienia na kongresie Pen - Clubów w Paryżu:

Dlatego wzywamy Was, działaczy kultury polskiej, do czujności. W tę nieszczęśliwą godzinę, kiedy Polska dopuści do wprowadzenia praw wyjątkowych dla Żydów, los jej będzie przesądzony. Polska, jako kraj wolny, przestnie istnieć.

Do tego p. Steinberg dodaje:

Uważny czytelnik nie tylko nie dopatrzy się w tych słowach groźby pod adresem niepodległej Polski, lecz przeciwnie — wyczyta z nich szczerą obawę o jej istotę duchową, o jej przyszłość.

Bodaj to mieć takich przyjaciół jak Steinberg.

DRAPIEŻNA FAUNA

Wzruszającą opowieść o miłości, o zbrodni i karze znajdujemy w krakowskim „IKC” z drugiego września:

Marja Deville, wzruszona miłością tego człowieka, który nie wahał się dla niej popełnić zbrodni, wyjechała w ślad za nim do francuskiej Guyany i tam poruszała niebo i ziemię, by móc tylko ułatwić ucieczkę swemu ukochanemu. Udało się jej to wkońcu, lecz widocznie nie przeznaczone było życie na wolności, gdy właśnie miał wsiąść na łódź, która miała go wywieźć na wolność, padł ofiarą wielorybów, które są ciągłą plagą Wyspy Djabelskiej.

A nieszczęsna Marja Deville skończyła pod dalekobiezną żyrafą i była przez nią przejechana.

UŁASKAWIENIE

W ciekawie redagowanym „Nowym Głosie” (1. IX) znajdujemy opowieść o zbrodniarzu Malou Gerin, ktróy...

...był skazany przed dwudziestu laty na piętnaście lat więzienia, ale dzięki wzorowemu sprawowaniu się i zabiegom rodziny po osiemnastu latach został ułaskawiony. Przed kilku dniami wypuszczono go na wolność. Razem przesiedział więc lat dwadzieścia trzy.

A autorowi tej historii wypuszczono na głowę kubeł wody.

TAJEMNICZY HR

Ilekróć czytam krakowskiego „IKC“, zawsze mi wpada w oko zagadkowy korespondent, podpisujący się literkami Hr. Naprzykład w numerze z 9 września:

(Hr) Roboty przy restauracji wieży katedralnej w Wilnie są na ukończeniu. Wieża została pomalowana na kolor, jaki otrzymała bazylika.

Moskwa, 7 września. (Hr). Z Barcelony donoszą o wykrzyciu nowego spisku na tyłach armji rządowej. Aresztowano 17 osób.

(Hr) Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej uchwaliło przystąpić do budowy własnego domu w Trokach. Budowa będzie rozpoczęta w roku przyszłym.

Ruchliwość pana Hr, który jednocześnie telefonuje z kilku miast Europy, jest zdumiewająca.

WYDAWNICTWO ULTIMA THULE

Warszawa, ul. Św. Barbary 1

poleca następujące książki po niskich cenach:

PISMA Ks. P. SKARGI — 5 tomów oprawne w 1 tom w ozdobnej art. skórzanej oprawie	Zł. 200.—	brosz. 125.—
HOMER — Odysseja, w przekładzie St. Mleczki w ozdobnej oprawie płóciennej	Zł. 10.—	7.50
RZEWUSKI HENRYK — Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego w ozdobnej oprawie płóciennej	Zł. 8.—	6.—
BHAGAWADGITA — przekład z sanskrytu Dr. St. Fr. Michalskiego w ozdobnej oprawie skórzanej	Zł. 8.—	5.—
DHAMMAPADAM, — przekład z palijskiego Dr. St. Fr. Michalskiego w ozdobnej oprawie skórzanej	Zł. 8.—	6.—
UPANISZADY — przekład z sanskrytu Dr. St. Fr. Michalskiego w ozdobnej oprawie skórzanej	Zł. 8.—	4.—
AFORYZMY INDYJSKIE — przekład z sanskrytu P. E. Pavoliniego	Zł. —	1.50
ST. DOBRZYCKI — Rodowód Telimeny	Zł. —	2.—
M. SMOLARSKI — Wino Młodości, powieść	Zł. 3.—	1.50
J. SHEARING — Anioł Morderstwa	Zł. 9.—	6.50
ST. KAWCZAK — Milkące echa, powieść	Zł. —	5.—

141

WYDAWCA I REDAKTOR: JULJAN BABIŃSKI

PRENUMERATA: mies. 1 zł. 50 gr., kw. 4 zł. 20 gr., półrocz. 7 zł. 28 gr. Zagr. mies. 2 zł. 40 gr., kwart. 6 zł. 40 gr., półrocz. 12 zł.

OGŁOSZENIA: za miejsce wysokości 1 mm. przez jedną szpalcę za tekstem 60 gr. w tekście 90 gr. (Wszystkie kolumny są dwuszpalcowe). Na kolumnę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

REDAKCJA ADMINISTRACJA: Chmielna 27 m 6. Telefon 664.75.

Przyjęcia Adm. godz. 9—2 p. p.

Redakcja I — 2